

# POLSKA WALCZĄCA

## ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 29-go lipca 1944r.

Rok VI. Nr. 30

# JEŃCY Z NORMANDII

Ostatnio polski stan posiadania na tych wyspach znacząco się podniósł. Stało się to niespodzianie i z nieoczekiwanej strony. Inwazja Europy już w pierwszych dniach i tygodniach zagarnęła wielką masę rdzennych Polaków, siłą wepchniętych w mundur niemiecki, siłą przymuszonych do służby w niemieckich szeregach. Można powiedzieć, że inwazja nie tylko zwołała skrawek uciemzonego kontynentu, ale dała już wolność częstej narodu polskiego, zdjęła z niej haniebny przymus, obaliła niebawym gwałt na niej dokonany.

Jest to wydarzenie radosne i my Polacy wolni, żyjący na wolnej ziemi, uczestniczymy w nim całym sercem. Ale jest to jednocześnie wydarzenie, odsłaniające wielką tragedię zbiorową. Chyba żaden naród nie przeżywa jej w takim stopniu i rozmiarze. I opinia świata, podobnie jak wielu rzeczy polskich — nie rozumie i nie ogarnia w pełni stopnia i rozmiaru tej tragedii.

Przede wszystkim świat nie pamięta, że z woli traktatów pokojowych w granicach Rzeszy Niemieckiej została po tamtej wojnie mniejszość polska, grubo przekraczająca milion ludzi. Walczyła ona rozpaczliwie a daremnie o najbardziej oczywiste, elementarne prawa dla siebie wtedy, gdy mniejszość niemiecka cieszyła się w Polsce pełną swobodą rozwoju i — przygotowywała się do odegrania w nadchodzącej wojnie roli "piątej kolumny", roli szpiegów, prowokatorów, sabotażystów.

Świat nie pamięta o tamtym, ale mało wie także o tym, że Niemcy jednostronnym postanowieniem uznali całą Polskę zachodnią za część państwa niemieckiego. W ten sposób siłą wtłoczyli w jego granice około dziesięć milionów Polaków. Dekret ogłoszony przez ministra spraw wewnętrznych Rzeszy dr. Fricka w listopadzie 1940 r. uznał owe dziesięć milionów Polaków, Polaków z urodzenia, z mowy, z religii — za Niemców. W ślad za tym poszły rozporządzenia o "Deutsche Volksliste", zmuszające Polaków do przyjmowania obywatelstwa niemieckiego, przyszedł wieloletni terror, gwałt, nadużywanie brutalnej siły. A gdy przed Niemcami stanęło groźne widmo braku rezerw ludzkich — spadł pobór do niemieckiego wojska. Nie było przed nim ratunku, bo Niemcy stosowali osławioną zasadę odpowiedzialności zbiorowej: za ojca, syna, brata płaciła cała rodzina: rodzice, rodzeństwo, żony i dzieci.

Jest to pogwałcenie praw Boskich i ludzkich. Jest coś szatańskiego w tym pomyśle, aby stawiać braci przeciw braciom. Jest w tym bezprawie, w tym cynicznym sponiewieraniu praw międzynarodowych coś, co wyłącza Niemców z obywatelstwa europejskiego, pozbawia ich przynależności do świata europejskiej kultury.

Miałem niedawno możność rozmawiania z wieloma Polakami, byliymi żołnierzami "Wehrmachtu", wziętymi do niewoli przez wojska anglo-amerykańskie. Spotkanie z nimi jest wielkim przeżyciem, poruszającym do głębi. Ale w bezpośrednim zetknięciu mniej dochodzi do głosu tragiczność doli, ich własna i im podobnych, którzy liczą się dziś na setki tysięcy. Gdy się z nimi mówi, gdy się słucha ich opowiadań, patrzy w ich oczy, odsłania się przede wszystkim co innego — słabość Niemców i hart,

odporność, niezmożona siła duszy polskiej.

Bo pomyślcie, co można sądzić o armii, w której służbę frontową pełnią żołnierze, wcieleni do szeregów w marcu i kwietniu tego roku? Osobiście rozmawiałem z wieloma takimi, którzy byli w wojsku niemieckim po trzy, cztery miesiące i dostali się do niewoli na wybrzeżu normandzkim.

Bo osądzcie sami, co można myśleć o armii, która przemocą rekrutuje ludzi wrogiej narodowości, obcego języka — w wieku przedpoborowym? Nie do rzadkości wśród jeńców-Polaków należą chłopcy, którzy mieli szesnaście, siedemnaście lat, gdy ich wcielono do szeregu. Przeważa wśród nich rocznik 1924-26.

Wszyscy bez wyjątku, z którymi mówiłem stwierdzają zle odżywianie w armii niemieckiej, z reguły ograniczające się do kapusty i na pół zgnitych kartofli w lupinach. Wielu z nich z własnego doświadczenia stwierdzało niedostateczną ilość min i amunicji artyleryjskiej. Wielu z nich brało udział w zakładaniu pól minowych, na których obok min prawdziwych kładło się nieszkodliwe blaszki. Wielu widziało pola minowe... bez min, których groźba sprowadzała się do "groźnego" płotka i tabliczki z "groźnym" ostrzeżeniem.

Z wielu opowiadań widoczne

jest szybkie rozpadanie się oddziałów, niski poziom moralny niemieckiej kadry oficerskiej i podoficerskiej. W wielu przypadkach dowódcy ponoszą odpowiedzialność za dostanie się podkomendnych do niewoli.

W przeciwieństwie do słabości maszyny, która ich schwyłała w tryby i usiłowała przemleć — ci byli żołnierze armii niemieckiej stanowią dowód siły charakteru. Są to Polacy wysokiej próby, Polacy pełnej i bezspornej wartości. Haniebne oszczerstwo o ich rzekomym "prohitlerystym", z czyjegociemnego poduszczania puszczono w świat przez pewne pismo — staje w pełnym, jaskrawym świetle, gdy się zważy, że wielu z nich, większość, nie zna języka niemieckiego, rozumie ledwie kilka czy kilkanaście słów komendy. Są to chłopcy, którzy przestali chodzić do szkoły polskiej, w chwili wybuchu wojny, gdy mieli lat trzynaście, a do niemieckiej nigdy nie chodzili.

Aż zdumiewa fakt, że Niemcy ryzykują posiadanie w obrębie swego walczącego zespołu ludzi tak obcych, wrogich, wewnętrznie niepozymskich a nadto po prostu niedostępnych przez nieznaną im języka. Musi się to zemścić na spoistości ich siły zbrojnej. Już zemściło się w Normandii i może zagrać jeszcze na innych frontach. Są Polacy — niemieccy żołnierze

z przymusu — w Belgii, Holandii, Grecji, we Włoszech; jakiś młody chłopiec mówił mi, że ma 54-letniego ojca służącego w Norwegii.

"Nie wierzę, żeby który z naszych strzelał do Amerykanów" — powiedział do mnie jeden z jeńców. Inny opowiadał, jak pod groźbą browninga wymierzonego w plecy musiał strzelać, więc strzelał tak, by chybić, to parę metrów za bardzo na prawo, to parę metrów zbyt na lewo. Na każdym kroku, przy każdej nadarzonej okazji uprawiali taki sabotaż: nie dokreślali zapalników do min, zagwaźdzali działka przeciwpancerne, paraliżowali wysadzanie dróg i mostów.

Wszyscy z napięciem czekali na sposobność ucieczki, na możność "praśnięcia" zniechęconej broni o ziemię. Pomagali losowi, jak mogli: zostawali w tyle, kryli się po jamach. Do niektórych dotarły wezwania Rządu nadawane przez radio, do innych ulotki z tym wezwaniem zrzucone z samolotów sojuszników. Jeden z nich znalazł kilka takich ulotek i pokazał kolegom. Sam jeden, gdy inni nie chcieli ryzykować, z chustką w jednej ręce, z ulotką w drugiej szedł ku pozejom amerykańskim. Sekundy dłużyły się jak godziny, zamierało w nim serce, gdy nagle z przeciwnej strony usłyszał zawołanie: "Polak?" i mógł odkrzyknąć całą siłą duszy i głosu: "Po-

lak! Polak!" Takich spotkań z żołnierzami amerykańskimi polskiego pochodzenia było wiele.

Uszczęśliwieni darem wolności mało mówią o swoich cierpieniach, o upokorzeniach, których doznali, o poniżeniu ludzkiej i narodowej godności, które było ich chlebem powszednim. O tym, jak lżono ich za polskość, jak zakazywano im rozmawiać we własnym języku, nawet wtedy, gdy po niemiecku nie umieli, jak karano za zasłyszane słowo polskie, jak próbowano zmuszać do pisania listów niemieckich do domu, jak nie dopuszczano do nich pociechy religijnej.

Jeden z nich mówił mi, że wbrew zakazowi chodził w niedzielę do kościoła francuskiego. Kosztowało to "trzy dni ścisłego", ale chodził. "A co wieczór modliłem się pod kocem, jak mnie matka nauczyła". Wielu z nich przyniosło przez kraje Europy, przez ogień frontu ubogie książeczki do modlitwy, medaliki i szkaplerze. Teraz, gdy jest im dana wolność, wszyscy bez wyjątku idą do spowiedzi. Traf tak zrzadził, że słucha jej młody ksiądz, który służył w korpusie Rommla i dostał się do niewoli w Afryce. Rozumie ich lepiej, patrzy w ich dusze jaśniej, niż ktokolwiek.

Na tę ziemię przynieśli ci jeńcy uwolnieni z niewoli niemieckiej powiew z dwu ojczyzn Polaków: z Polski i z Francji.

Wszyscy mówią o dobrym odnoszeniu się Francuzów, o tym, że słowo *Polonais* — Polak ma znowu na ziemi francuskiej siłę czarownego zaklęcia, które otwiera serca ludzkie. Bez tej zyczliwości trudno by było wytrzymać. Wielu pomogła ona nie tylko dożyć się, ale i uciec. Jeden z jeńców opowiadał, że ksiądz francuski ukrywał go przez całą dobę, a potem ułatwił poddanie się Amerykanom. Inny, który zresztą nie mówi po niemiecku, utrzymuje z przekonaniem, że "mowa francuska, to lekka mowa".

Polska jest żywa, prawie dotykalna w ich pamięci i w ich słowach; niektórzy jeszcze w kwietniu tego roku byli na urlopiach w kraju. Z ich słów wyjawia się cierpiąca, udreżona, ale wytrwała, twarda, jak oni sami. Jeden z nich idąc do wojska zęgnął się z ojcem w więzieniu: "Strażnik-Polak, co był przy tym — opowiada — płakał, ale mój tata nie płakał. I ja też nie. Powiedziałem ojcu, żeby patrzył za sobą, a ja swój rozum mam i zabić się nie dam". Wujka innego Gestapo zabiło na progu domu, żona została z czworgiem dzieci, "mieszka teraz w jamie, gorzej świni". Inny jeszcze, nauczyciel ze Śląska, przeszedł przez obóz w Dachau, przez katorgę kamieniołomów w Manthausen, wobec których niewola egipska nie wydaje się niczym strasznym.

W tej chwili Polacy, żołnierze armii niemieckiej, wzięci do niewoli w Normandii, znajdują się znowu pod opieką Rządu Rzeczypospolitej, znowu są pełnoprawnymi obywatelami swego kraju.

My żołnierze Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii gorąco ich witamy na tej ziemi wolnej i gościnnej. Zapewniamy o naszym zrozumieniu dla ich przeżyć i cierpienia, o głębokiej naszej solidarności z tą mocą odporu i wytrwania, jakiej złożyli wymowne, piękne, prawdziwie polskie świadectwo. Pragniemy wszyscy, aby im tu było jak najlepiej, aby czuli, że im pierwszym było dane wrócić "na ojczyznę łono".

TYMON TERLECKI

### DROGA ŻOŁNIERZA POLSKIEGO

Ślad polskiego czołgu na ziemi włoskiej, gdzie nasza broń pancerna okryła się nową chwałą w bitwie o Ankonę



## WRZENIE W RZESZY

Zamach dokonany na Hitlera nie mógł chyba być inscenizowany. Tego rodzaju sztuczki nie wyprawia się w piątym roku wojny, kiedy wojska niemieckie ustępują na froncie wschodnim i kiedy kłęsa zagląda Rzeszy w oczy coraz wyraźniej. Zamach był wynikiem spisku, którego rozgałęzienia były przypuszczalnie liczniejsze, aniżeli zrazu się przypuszczało. Spisek ten nie powstał wczoraj, ale zapewne już w okresie Stalingradu. Dla bystrzejszych oficerów było rzeczą jasną, że Niemcy idą do kłeski. Jedni zostali usunięci, inni z tych czy innych względów usunęli się od prowadzenia wojny w sytuacji, w której rozkazy Hitlera dalej są wyrocznią.

Przesuwanie i usuwanie generałów dowodziło, że Hitler napotyka na coraz większe opory wśród sztabu i wśród wyższych dowódców, że ich widzenie rzeczy jest coraz bardziej czarne. Generalowie, którzy dostali się do niewoli sowieckiej zaczęli uprawiać już swoją politykę. Nie było by rzeczą dziwną, gdyby pewni dowódcy woleli bić się słabo, albo, jak to powiadają w teatrze, markować tylko opór. Najwidoczniej takie podejścia musiały dawno powstać w umyśle tego sadysty i kata, jakim jest Himmler. Pewne uwagi na ten temat znalazły się w dramatycznych apelach po zamachu. Dowodziło by to, że istotnie pochód sowiecki na wschodnim froncie został ułatwiony przez słaby opór niemiecki i przez wyraźne unikanie walki przez pewnych dowódców.

Oczywiście, Himmler z gustem stłumił rewoltę. Oczywiście, potoczyły się głowy, potoczyła się nowa, t.zw. "noc długich noży" czyli 30-ty czerwca 1934-ego roku zblednie wobec obecnych mordów. Ale nie uratuje to sprawy. Gestapo nie poprowadzi armii.

Oto jest właśnie ośrodkowe zagadnienie i przed nim Hitler uciec nie może. Sztab musi pracować, armia musi walczyć. Dokonywanie czystek i przesunięcie w tej chwili, to zabieg bardzo ryzykowny.

Wr. 1934-ym Hitler złożył w ofiarze armii głowy Röhma i towarzyszy. Nie chcieli oni przecież dokonywać zamachu na Hitlera. Chcieli natomiast wywołać rewoltę lewego skrzydła i połamać kości "Reichswehry". Hitler postanowił zyskać sobie jej łaski i poświęcił Röhma. Dzisiaj armia sięgnęła — na razie nieśmiało — po głowę Hitlera i kolegów.

Himmler w odpowiedzi na to uderza w te ośrodki "Reichswehry", które podejrzewa. Idzie on pod hasłem rewolucji radykalnej. Czyli — chce po części spełnić dzieło Röhma, Ley wola, że trzeba "rznąć te świnię błękitnej krwi". Nazizm wraca do swoich rewolucyjnych założeń. Doły przychodzą raz jeszcze w Rzeszy do głosu. Przygotowanie społeczeństwa niemieckiego do rewolucji odbywa się w pełni. Radykalizacja postępuje.

Do starcia między "białymi" a "czerwonymi" może dojść w Rzeszy w chwili, gdy armia czerwona wejdzie na teren Rzeszy. Himmler i Hitler przygotowują teren — pod komunizm i rewoltę dołów. Takie są paradoksy sytuacji niemieckiej. Takie są możliwości tego niesamowitego kłębowa, które zwie się Rzeszą. Jakkolwiek bunt został stłumiony,

Przewidywania nasze, że niebawem dojdzie do wielkiej bitwy powietrznej nad terenem Francji nie spełniły się dotychczas. Lotnictwo niemieckie, jak dotąd, nie wykonało masowo do walki. Zadawała się małymi eskapadami najwyżej 40 do 50 samolotów, próbuje atakować pojedynczymi samolotami konwoje lub okręty przy zatokach.

W takich warunkach piechur niemiecki jest zdany na łaskę i niełaskę samolotów sojuszniczych. Mimo niepogody, lotnictwo alianckie działa mocno na korzyść własnych wojsk lądowych, otwierając mu gigantycznymi bombardowaniami drogi w głąb pozycji niemieckich. "Typhoony" i "Hurricane'y" uzbrojone we wspianą nową broń: pociski rakietowe, stały się zmorem żołnierza niemieckiego. To co opowiadają niemieccy jeńcy o tym, jak smakują te ataki, przechodzi czasem pojacie. Daje nam to jasny obraz tego, co lotnictwo może zdziałać nie napotykając w powietrzu równie silnego przeciwnika.

Współczesne lotnictwo myśliwskie, działając nisko przy ziemi, nie jest łatwo uchwytnie dla obrony ziemnej dzięki swej szybkości. W dodatku, dzięki swemu uzbrojeniu stało się groźne także dla broni pancerniej.

Dwa lata temu, na tym samym miejscu, rozważaliśmy sprawę uzbrojenia lotnictwa myśliwskiego. Ubolewaliśmy w roku 1942, że broń nie przebijająca pancerzy ciężkich czołgów, nie pozwala użyć lotnictwa w takiej skali i w ten sposób, w jaki użyte być powinno.

Pomahał jednak i to się spełniło. W czasie walk pustynnych z czołgami Rommla, "Hurricane'y" dostawały działka 40 m/m. Nie przyszły bynajmniej z takim uzbrojeniem z fabryki. Lotnictwo zaimprovizowało takie uzbrojenie na własną rękę, nie wiele pytając inżynierów. Pierwsze próby nie były szczęśliwe. Odrzut działek osłabiał skrzydła, wykręcał kadłuby, lub powodował inne nieprzyjemności. Lecz w końcu trudy

opłaciły się sowiecie. Powstał dywizjon t.zw. "otwieraczy puszek konserwowych", zaczął walczyć z bronią pancerną i co ważniejsze — zaczął ją zwać. Czasami mozołnych prób przeszły szczęśliwie i "Hurricane'y" naprawdę dostały działka ppanc., za nimi inne samoloty, nie tylko w ramach Desert Air Force, lecz i na innych frontach.

Niestety niewielu z pierwszego dywizjonu, który montował działka w skrzydła pierwszych "Hurricane'ów" dożyło czasów tryumfu. "Otwieracze puszek" mieli swą Samosierre na Sycylii. Jeszcze dzisiaj ani czas, ani miejsce opisywać te dziwne sprawy, jedno tylko rzecz można: dywizjon poświęcił się za wielu. Gdyby nie on, Bóg jeden wie, jakby to wyglądało z lądowaniem na Sycylii i ile by ta Sycylia krwi kosztowała.

Pozostały po "otwieraczach puszek" wielka sława i owe działka w skrzydłach samolotów myśliwskich. Niebawem jednak zamiast działek, zaczęły w skrzydłach, a raczej pod nimi, montować inne przedmioty: jakieś szyny żelazne i puski. Był to wstęp do montowania na samolotach pocisków rakietowych, jeszcze bardziej wydajnych w walce z ziemią, niż owe pamiętne działka. "Typhoony" bliżej kuzyni "Hurricane'ów" były pierwsze.

Początkowo pociski rakietowe były niewielkie. Z biegiem jednak czasu rosły i dziś dorosły już do wagi 1000 lb. każdy. "Typhoon" dźwiga pod skrzydłami dwa takie pociski. Postęp w używaniu tych nowych pocisków szedł naprzód bardzo szybko, szczególnie w kierunku uzyskania dużej dokładności strzału i szybkości pocisku. W każdym razie dziś nie tylko pancerz czołga, lecz i grube mury betonowe nie są już pewne

## Szkic sytuacji

to jednak nie znaczy to, ażeby za jakiś czas nie przyszedł znowu do głosu inny ośrodek oporu. Front będzie jednak decydujący. Jeżeli na froncie poczyna poddawać się pewni generałowie, to stanowią to niezbity dowód, że armia, a raczej jej szczyty, nie wierzą już w wygraną i uważają, że najlepiej się poddać.

Po upadku Mussoliniego stwierdziliśmy na tych łamach, że wzór włoski może być bardzo dla "Reichswehry" wymowny i że może się ona pokusić o dokonanie jakiegoś zamachu stanu. Zaznaczyliśmy jednak, że jeżeli "Wehrmacht" nie wykorzysta chwili zamętu, jaki powstał po upadku jednego dyktatora, to wówczas partia hitlerowska ochłonie i opamięta się. Doniesienia neutralne, które nadchodziły później z Rzeszy mówiły, że szczyty partyjne obawiały się bardzo jakiegoś zamachu, że społeczeństwo niemieckie było wybitnie przygnębione i że oczekiwano jakichś echa "włoskich".

Po Röhmie niemieckie rządy umocniły się. Trudno powiedzieć, ażeby wyszły one wzmocnione po obecnej próbie. Oczywiście, zastrzyżony terror. Rzesza jęknęła pod uciskiem Himmlera, który jest najpotężniejszą osobistością w Niemczech obecnych. Jest to specjalista od terroru na największą skalę, jest to człowiek, który nie zawaha się przed niczym. Terror w Rzeszy nasilił się, społeczeństwo zagnane zostanie do taczek wojny jeszcze bardziej brutalnie.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że Rzesza pójdzie na politykę rozmaitych grózb, a więc będzie grała na atucie jeńców wojennych, będzie groziła wielu rzeszami. Zaden szantaż, żadna groźba, żaden krwiożerczy czyn na pewno nie zostanie pominięty. Hitler i Himmler idą po drodze obrony, całopalenia, "bitwy Nibelungów". Głosy "Wehrmachtu", to były głosy, że trzeba się zachować i uchwycić. W poprzedniej wojnie wygrał w Rzeszy instykt samozachowawczy, w tej może wygrać instykt samozniszczenia.

## LWÓW, LUBLIN, CHEŁM

Zajęcie Lwowa przez wojska sowieckie może być sprawą godzin. Podsuwają się te wojska daleko pod Przemyśl, zajęły już bodaj Lublin. Odległość szpicy sowieckiej od Warszawy wynosi 100 km. Zajęcie Warszawy do dnia 1-go sierpnia nie jest wykluczone. Do 1-go września los stolicy Polski wydaje się być przesądzony.

Postępy sowieckie są stałe. Na różnych frontach przychodzą ataki, dywersje, dowodzące, że Rosjanie mają wszędzie wielkie pogotowie, że ich przewaga ludzka i sprzętowa jest olbrzymia i że mogą sobie oni pozwolić na uderzenia gdzie chcą.

Nie widać powodu zatrzymania się pochodu sowieckiego, nie widać wyjścia jakiegoś niemieckiego przeciwuderzenia. Wydaje się raczej, że front niemiecki pruje się coraz

bardziej, że puszczają coraz to nowe szwy i że tego rodzaju tempo może sprawić, iż Rosjanie istotnie mogą w tym roku skończyć wojnę z Rzeszą. Nie widać, bezstronnie rzecz biorąc, żadnego powodu, dlaczego nie miało być się to stać. Kontrast między wielkim rozmachem sowieckim a tempem sojuszniczym w Normandii staje się czymś tak oczywistym dla ogółu brytyjskiego, że prasa angielska zaczyna głośno wyrażać niezadowolanie.

Z chwilą zajęcia Chełmu Rosjanie oznajmili powołanie do życia "Komitetu Wyzwolenia Narodowego", który przejął niejako agendy Związku Patriotów w Moskwie. Ogłoszono listę "gabinetu", który składa się z nazwisk raczej niewiele mówiących poza Jędrzychowskim, Berlingiem, Wasilewską, Drobnem. Przeważa element komunistyczny /Drobn, Jędrzychowski, Wasilewska/. Niektóre nazwiska wyglądają na pseudonimy. "Premier", który jest również "ministrem spraw zagr." jest nieznaną wielkością: jest to niejaki Morawski, podobnie jak "wódz naczelny" Rola Zymierski.

Dekret o powstaniu owego Komitetu datowany był "Warszawa dnia 21-go lipca". Komitet wydał już kilka dekretów, m.in. jeden z nich wyzwalający rząd polski. Sprawa granic z Rosją i Litwą będzie niebawem ustalona. "Armia ludowa w Kraju" łączy się z "armią Berlinga".

## Z tygodnia na tydzień

17 lipca: Wojska sowieckie zajęły Białowieżę, Szereszów, Swojstocz, Prużanę i Drohiczyn. Niemcy podali, że walki toczą się na ulicach Belza.

— Oddziały II. Korpusu Polskiego rozpoczęły bitwę o Ankonę.

— Polskie dywizyjny myśliwskie przeprowadzały wymiatanie i osłone wypraw bombowych. Wszyscy piloci polscy powrócili.

18 lipca: II. Korpus Polski zdobył Ankonę. O godz. 16.00 na cytadeli w Ankonie zawisła flaga polska.

— Wojska amerykańskie zajęły po ośmiu dniach walki St. Ló w Normandii. Wojska brytyjskie i kanadyjskie przedarły się na wschód od rzeki Orne i pld.-wsch. od Caen.

— Wojska sowieckie zajęły Złoczów, Kamionkę, Busk, Brody i Chodorów.

— Ogłoszono szczegóły o wybitnym udziale Armii Krajowej w walkach o Wilno.

— W nocy z 17/18 polski nocny dywizjon myśliwski przeprowadzał zadania intruderskie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela oraz dalekie patrole zaczepne. Polski dywizjon bombowy ciężki atakował cele wojskowe w rejonie Caen, a polski dywizjon bombowy lekki drogi komunikacyjny.

— Wojska II. Korpusu Polskiego przekroczyły rzekę Esino, na pld. od Chiaravalle, 10. mil na zach. od Ankonę.

— Wojska sowieckie zajęły Kobryn, Luboml, Włodzimierz Wołyński, Rawę Ruską i Tomaszów Lubelski.

— W nocy z 19/20 polski dywizjon myśliwski przeprowadzał osłone

wypraw bombowych. Wszystkie samoloty powróciły z tych zadań.

19 lipca: Wojska amerykańskie zajęły Livorno. Czolgi polskie ścigały Niemców nad Adriatykiem.

— Wojska sowieckie zajęły Sokal nad Bugiem oraz przekroczyły rzekę Swistocz.

— W nocy z 18/19 lotnictwo sowieckie bombardowało Lwów, Siedlce i Dźwińsk.

— W nocy z 18/19 polski dywizjon bombowy ciężki bombardował obiekty wojskowe w rej. Rubry, a dywizjon bombowy lekki drogi komunikacyjnej.

Dywizjon myśliwski nocny przeprowadzał zadania intruderskie. Za dnia dywizjon myśliwski osłaniał wyprawy bombowe i zwalczał bomby latające. Z zadań tych nie powróciła jedna załoga dywizjonu bombowego ciężkiego.

20 lipca: Ujawniono, że dokonany został zamach na Hitlera.

— Wojska II. Korpusu Polskiego przekroczyły rzekę Esino, na pld. od Chiaravalle, 10. mil na zach. od Ankonę.

— Wojska sowieckie zajęły Kobryn, Luboml, Włodzimierz Wołyński, Rawę Ruską i Tomaszów Lubelski.

— W nocy z 19/20 polski dywizjon myśliwski przeprowadzał osłone

Święto "Poznańskiego" Dywizjonu Myśliwskiego przypadające w dniu 28 lipca odbędzie się w związku z obecnością sytuacji — w ramach ścisłe wewnętrznych.

bombowy lekki bombardował drogi komunikacyjne, a dywizjon obrony wybrzeża patrolował morza. Za dnia dywizjon myśliwski osłaniał wyprawy bombowe i zwalczał bomby latające. Dotąd piloci polscy zestrzelili 59 bomb latających. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

— Ogłoszono, że O.R.P. "Błyskawica" wraz z dwoma kontrtorpedowcami brytyjskimi zatopili w dniu 15 bm. w Zatoce Biskajskiej dwa statki nieprzyjacielskie i jeden trawler.

21 lipca: W nocy z 20/21 polski dywizjon bombowy ciężki bombardował cele wojskowe w Courtrai, a dywizjon myśliwski nocny przeprowadzał zadania intruderskie nad terenem okupowanym przez nieprzyjaciela i dalekie patrole zaczepne.

Wszystkie załogi polskie powróciły. — Prasa podała, że wojska polskie w pościgu za Niemcami dotarły do Monte Marciano, Monte San Vito i Morro Dalba.

— Wojska sowieckie zajęły Buczac i Kozowe oraz Ostrów na pld. od Pskowa.

22 lipca: Wojska polskie posunęły się naprzód od 2-3 mil w kierunku na port rybacki Senigallia.

— Wojska sowieckie zajęły Chełm.

23 lipca: Wojska sowieckie zajęły Psków. Walki na ulicach Lublina.

— Naczelny Wódz udekorował orderem "Wirtuti Militari" gen. Alexandra i d-ęc 8-jej Armii gen. Leese.

Wydaje się, że Moskwa zastosowała w Polsce "wzór Tity". Podobnie jak z Titą — "Komitet Wyzwolenia Narodowego". Możliwość furty dla rządu londyńskiego, gdyby chciał się "pogodzić" istnieje, tak jak istniała dla rządu Subasica. Tak się to przynajmniej dzisiaj wydaje. Możliwe jest jednak, że Moskwa zastosuje "wzór de Gaulle'a": oskarży rząd polski w Londynie o rzekome "sprzyjanie Niemcom", powie światu, że to "Vichy i koniec"; faktem jest, że tak jak de Gaulle atakuje uchwały w Bordeaux, tak panowie z Chełmu atakują konstytucję r. 1935. De Gaulle miał pewne podstawy do zapewnienia uchwał w Bordeaux, Komitet z Chełmu żadnych — ale to nie nie szkodzi.

Niedawno na łamach "News Chronicle" p. Stefan Litauer zapowiedział możliwość stworzenia rządu czy komitetu pod opieką Rosji w Lublinie. Pomylił się co do miejscowości. To nie Lublin, lecz Chełm. Lublin pachnie za nadto rządem socjalistycznym /jednym z członków tego rządu był zresztą Rydz-Smigły/, Chełm jest lepszy. Chełm to symbol oporu polskiego przeciwko "carskiej reakcji". Lublin byłby może za nadto wielkim miastem, Chełm wystarczy dla celów komitetu. Z chwilą wejścia do Warszawy "Komitet Wyzwolenia Narodowego" zapewne się rozbuduje.

Wszystkie te posunięcia tworzą splątanie niezmiernie tragiczne. Niepewność jest naszym udziałem, będzie naszym udziałem długo. Fala rewolt, niepokoju, wojen domowych będzie chyba nieunikniona w Europie. Losy nasze nie zdecydowały się ani dzisiaj ani jutro. Wszystko to każe wyteżycić wolę i słuch ludziom odpowiedzialnym, Polakom świadomym obowiązków naszych wobec Europy, wobec europejskiej Polski.

Musimy pracować dla tego celu, który może w tej chwili wydawać się odległy. Ale ten tylko cel: powiązanie się Europy, znalezienie dla Polski miejsca w tym zespole, tylko powołanie do życia mocnego systemu bezpieczeństwa — wroży pokój.

Wszystko inne, to tylko wstęp do nowego zamętu, do beztadu i anarchii, fal terroru, przewrotów społecznych, do państw i rządów lennych.

Dlatego nie możemy poprzestać na chwili obecnej. Ta chwila jest czarna i niewiele wskazuje na to, by ten rok miał przynieść jakąś odmianę. Ale nie może to wywołać całkowitego opuszczenia się w sobie, gestów niewiary. Kryzys, jaki Europę ogarnął, to kryzys największej miary. Trzeszcza w nim państwa, porządki społeczne, wiary ludzkie. Tylko to co świadome, silne — przetrwa i zwycięży.

Młoda Polska, ta Polska, która jest dzisiaj w szeregach, ta, co kształci się rozsiana po świecie — ta musi już dzisiaj organizować się, zdobywać dorobek myśli, rozszerzać swój widnokrąg. Walka o Europę, o Polskę, nie zakończy się przedko. Będzie ona trwała długo, może jeszcze pochłonąć wiele ofiar, złamać wiele istnień, wiele nadziei. Ale od tego, jak ta stawka młodych Polaków odpowie na pytania zadawane przez nieubłągany czas — zależy los Polski.

Londyn, dnia 24-go lipca 1944 r.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

## Nowości lotnicze

wobec pocisku rakietowego... Samoloty z pociskami rakietowymi mają specjalną taktykę walki. Taktyka ta, wypracowana i wypróbowana w wielu bitwach, daje coraz lepsze wyniki. Przypuszczać należy, że pocisk rakietowy będzie w przyszłości główną bronią pewnych rodzajów lotnictwa. Czy jednak wyprze broń maszynową? Nie można w tej chwili odpowiedzieć ani tak, ani na pewno: nie. W każdym razie broń maszynowa, k.m. czy działko, to potężna broń zaczepna w powietrzu, uwielokrotniona, bowiem każdy samolot myśliwski posiada działka i karabiny maszynowe od dwóch do dwunastu.

Przypuszczać tedy należy, że o ile pocisk rakietowy nie przybierze całkiem nowych form, to broń maszynowa obok rakietowej w dalszym ciągu pozostanie na samolocie. Pocisk rakietowy ma jednak wielką w stosunku do broni maszynowej przewagę: przede wszystkim wystrzelanie go spod skrzydła nie jest połączone z żadnym prawie odrzutem, czego nie można powiedzieć ani o działku, ani o k.m. Urządzenie do wystrzelania jest lekkie i składa się z pryzmy i odpalacza elektrycznego. Nie potrzeba żadnych ciężkich i skomplikowanych urządzeń wewnątrz skrzydła, ani specjalnych wzmocnień kadłuba, waży tylko pocisk, reszta stanowi nikiły procent wagi pocisku.

Zapytano nas, jaka jest różnica między samolotem odrzutowym a rakietowym. Spróbujemy to wyjaśnić na przykładzie przyrodniczym: ośmiornica jest jednym z najstraszniejszych uzbójczych stworzeń na ziemi. Poza swymi ośmioma łapami o tysiącach ssawek, poza dziobem, podobnym do papuziego o straszliwej sile

chwytnej i kruszącej, poza możliwością wytwarzania obłoku atramentowego dla osłepienia ofiary, posiada jeszcze t.zw. "syfon". Strumień wody, wyrzucony pod ciśnieniem z "syfonu" /zbiornika przy odwoiku/, uderzając o wodę nieruchomą w otoczeniu, wyrzuca ośmiornicę daleko z szybkością pocisku.

Jest to urządzenie działające na tej samej zasadzie, co silnik odrzutowca. Trąba blaszana nad ogonem latającej bomby jest jej syfonem. Syfon składa się z dwóch części: z komory, do której wpływa powietrze, miesza się z materiałem pędym, i tworzy mieszankę, oraz z rury wydychowej. Mieszanka zostaje zapalona. Gorący strumień przez specjalnie zwężoną rurę wypływa na zewnątrz z olbrzymią szybkością i powoduje ruch samolotu do przodu. Gdyby jednakże można to powietrze poddać większemu ciśnieniu — nie byłoby potrzeby całego zabiegu zapalania, tak jak go nie potrzebuje ośmiornica, wyrzucając wodę pod ciśnieniem.

Inaczej rzecz się ma z samolotem o napędzie rakietowym. W takim samolocie ruch do przodu jest wywołany przez odrzut. Polega na odrzuconej zasadzie działka; działko strzela, pocisk wylatuje, działko wykazuje dążność do cofania się. Usuwamy cofanie działka przez takie urządzenie, że tylko lufa się cofa, natrafia na plyn, gaz, czy wreszcie sprężynę, która to cofanie amortyzuje. Lufa wraca do normalnego położenia, a pocisk lecą do przodu.

Teraz pomyślmy, że zbudujemy działko, które ma lufę zamocowaną na stałe, bez żadnego urządzenia amortyzującego odrzut. Co się stanie, gdy strzelimy z tego działka? O ile będzie dostatecznie mocne i nie pęknie — po strzale uskooczy w tył. Gdy

by wewnątrz takiej lufy było więcej pocisków i wybuchały co pewien czas, działko zaczęłoby się toczyć coraz szybciej do tyłu ruchem jednostajnym, lub przyspieszonym, zależnie od tego, jak byśmy uregulowali czasy wybuchów. I toczyłoby się tak długo, jak długo trwałoby wybuch. Co więcej, gdybyśmy takie działko umieścili w próżni — sprawa przedstawiała by się jeszcze prościej.

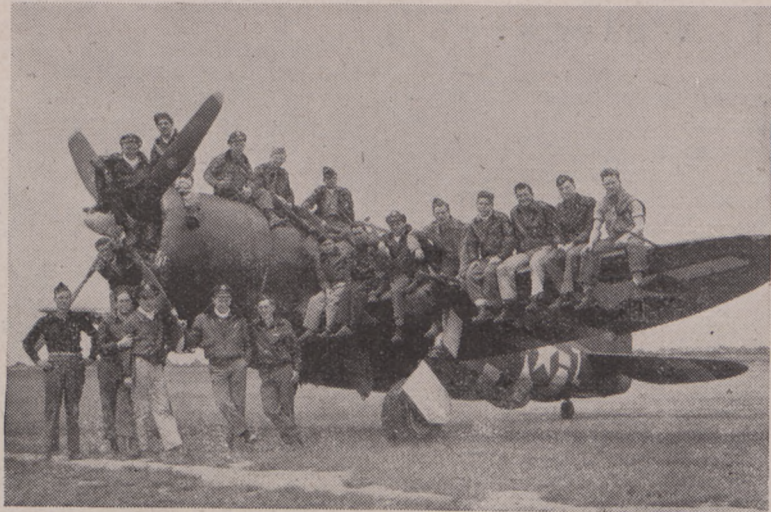
Krótko mówiąc różnica między samolotem o napędzie odrzutowym /jet propelled plane/, a samolotem rakietowym /rocket plane/ jest taka sama, jak między ośmiornicą a działkiem. Jak widzimy jest to różnica znaczna.

Nie podano jeszcze do wiadomości żadnych bliższych szczegółów o najnowszym superbombowcu amerykańskim, który już wszedł w akcję na froncie japońskim, mianowicie Boeing B 29, będący następcą "Latającej Fortecy", czyli Boeing B 17-G, znanej z wypraw na Berlin. Podobno ma zabierać do swych komór bombowych więcej niż 8 ton bomb, na bardzo dalekie przestrzenie, poza tym posiada wielką szybkość i bardzo wysoki pułap, co jest ceną właściwością bombowca. Posiada też podobno aż 15 działek i ciężkich karabinów maszynowych, z czego część zamontowana jest w wieżyczkach, a reszta poruszana motorycznie. W przyszłości, zapewne już niedługo, podobne bombowce będą miały już celowanie i odpalenie automatycznie uzgadnianie, tak samo, jak na jakimś pancerniku, gdzie ogień artylerii okrętowej kieruje się centralnie, a poprawki każde działko wprowadza automatycznie. Oszczędziłyby to conajmniej pięciu członków załogi.

Z chwilą gdy takie rzeczy pojawiają się na świecie, niedaleka będzie droga do jednoosobowych, lub najwyżej dwuosobowych ciężkich bombowców.

M. J. GORDON

# Z dywizjonem amerykańskim



38 "asów" na "Thunderbolcie", mają oni w sumie 540 niemieckich samolotów straconych; wśród nich rekordzistą /ogólno-amerykańskim/ jest Amerykanin polskiego pochodzenia płk. Gabreski z 30 samolotami

Wyruszamy na "mission" /wyprawę/ wczesnym rankiem. Ziemia jeszcze śpi, przeciągają się mgły. Powietrze jest chłonne i chłodne. Jest jak nurt zimnej, krynicznej wody puszczanej przyciętymi na kark. Orzeźwia. Jeszcze godzinę temu, gdy budzik rozdierał uszy i grzmocił w ospałość jak bokser trenujący w wór z piaskiem, uważało się, że wszystko jest "rotten". Tłumacząc to słowo na polski ze słowników w ręku, otrzymuje się pojęcia: zgnity, zepsuty, spróchniały, robaczywy, paskudny. Ja byłem "rotten" także. "Rotten" był "jeep", którym jechaliśmy na "briefing".

Teraz już jest inaczej. Dwie trzecie Anglii jeszcze śpi i dwie trzecie Anglii traci przepych słońca płynącego po obnażającej się z nocy i mgieł ziemi. "Mission" jest pod Chartres. Będzie rąbane ostro lotnisko z "Messerschmidami 110": dwa "bozy" "Maruderów" mają się nim starannie zapiekować. My pójdziemy jako osłona tych bombowców. Pójdziemy całą grupą, a więc w trzy dywizyjony po 16 maszyn.

Samolot, na którym latał to słynny "Thunderbolt" czyli Piorun z silnikiem Pratt and Whitney 2200 H.P. Słynny przez swój ciężar, mocną budowę i piekielną siłę ognia. Były już pisane poezje i dytyramby o "Spitfire", "Mosquito", a nawet o słynnym z "Bitwy o Wielką Brytanię" "Hurricane", o "Thunderbolcie" nie pisał nikt. Rzecz jasna: samolot nadaje się do poezji, jak wół do karety. Krótki, tępy nos nie mówi wcale o szybkości, którą rozwija. Szeroko rozstawione podwozie przypomina zmęczonemu niedziedzi, który usiadł na zydlu i pozostawił nogi nogom. Najgorszy jednak jest kadłub — jak bania i cysterna równocześnie. Człowiek w kabinie "Thunderbolta" wygląda jak mucha, która usiadła na szyi buldoga. Porównanie obrazowo gra, ale żeby jakiś pedant nie przycepił się do wymiarów, trzeba muchę przeobrazić na dużego żuka, a buldoga na pekińczyka.

"Thunderbolt" jest bezsprzecznie najcięższym jednosilnikowym samolotem myśliwskim na świecie, waga jego bowiem wynosi ponad 13.000 funtów t.j. 6 ton kontynentalnych. Gdy idzie o bombardowanie nurkowe, wówczas zabiera pod skrzydła dwie bomby po 1000 funtów i jeden zapasowy zbiornik benzyny pod kadłubem. Waga wtedy wzrasta do przeszło 7 ton. Uzbrojenie składa się z ośmiu 15-to milimetrowych karabinów maszynowych, a właściwie małych działek, gdyż pociski są wybuchowe. Ilość zabieranej amunicji wynosi 2000 sztuk. Wszystkie karabiny są wycelowane zbieżnie na 300 jardów. Efekt tego jest taki, że kilkusekundowa seria z "Thunderbolta" przy ogólnej ilości 80 pocisków na sekundę roznosi nieprzyjacielski samolot w powietrzu na drobne części.

Samolot ten został specjalnie zbudowany do pracy na dużych wysokościach, gdzie prześciga każdy samolot niemiecki. W nurkowaniu nie ma sobie równego, tak więc na nim to właśnie osiągnięto szybkość nurkowania ponad 700 mil na godzinę, co przedstawia szybkość większą od szybkości głosu. Samolot jest zbudowany niezwykle mocno i wytrzymuje największe obciążenia przy wyprowadzaniu go z nurkowania. Nie ma więc dziś w świecie samolotu, któryby mógł

ucieć przez nurkowanie przed "Thunderboltem".

Żuk dojechał do pekińczyka /ja — do mego "Thunderbolta"/. Wyrzucają mnie z "jeepu" razem z kłopotami, do których się zalicza: spadochron z dinghy /gumowa łódź/, May West /specjalna kurtka/, maska tlenowa, hauba obwieszona drutami od radia, jak święty wotami w Ławrze Począjącej. Bomb wiadomo, dziś nie ma; ich miejsce zajmują dwa zbiorniki po 100 galonów benzyny każdy.

Wchodzenie do kabiny "Thunderbolta" przypomina wchodzenie na pierwsze piętro. Gdyby to jeszcze człowiek nie miał na sobie tych wszystkich rekwizytów latania, byłoby jeszcze pół biedy. Spadochron obciążający pewną część ciała absolutnie nie zgadza się na szybkie wywindowanie.

Kabina jest widna, obszerna i wygodna. Dostęp do wszystkich niezbędnych przyrządów łatwy; nic nie stoi na przeszkodzie. Mechanik już włożył na skrzydło do pomocy przy zapinaniu. Niezbędne i nieodłączne przed każdym lotem misteria można zacząć. Najpierw historia z pasami. Spadochronowe i siedzeniowe. Trzymają. To dobrze. Teraz taśmę od dinghy spiąć z kłopotami. Teraz wąż gumowy od tlenu przepuścić pod prawą nogą i przycepić sobie pod brodę. Teraz przewód maski złączyć z węzłem. Teraz kabel idący od słuchawek na uszach spiąć z gruszkowatym zakończeniem innego kabla. Pierwsza część misterii dotycząca własnej osoby ukończona.

Część druga to już samolot. Otwieram przewody benzynowe. Sprawdzam, czy samolot jest na hamulcach. Skok śmigła cały do przodu. Rączka benzyny do przodu. Rączka gazu do tyłu. Zastrzyk. Noc była zimna, więc daję mu pełne pięć. Włączam ogólny generator. Rzut oka na licznik benzyny; wszystkie zbiorniki pełne. Włączam kontakt. Włączam rozrusznik. Liczę do dwudziestu — Clear off? — mówię do mechanika pytająco. — Clear off — odpowiada. Włączam starter. Ogromne łopaty czteroramiennego śmigła przeszły w wolny ruch obrotowy i podtrzymane wybuchami w cylindrach dmuchnęły wir powietrza, ginąc z dostrzeżenia. Przerzucam szybko rączkę benzyny na bogatą mieszaninę. Misteria skończone całkowicie. Teraz już tylko siedzieć i czekać aż się temperatura oliwy wystarczająco podniesie.

Maszyny, jak ciężkie gady to-

czą się po asfalcie na start. Ustawiam się po prawej stronie dowódcy klucza. Kiwa do mnie głową pytająco. Odpowiadam mu kiwnięciem. Odbezpieczam rygiel podwozia. Blokuję kółko ogonowe. Teraz rączka od gazu do przodu. Samolot drga, pełźnie, toczy się, pędzi. Pędzi długo, bo potrzebuje przestrzeni. Jego sześć ton, zanim pokonają siłę przyciągania, będą się mocowały z nią długo wzdłuż jasnego pasa wybieżni. Zieloność trawy przemyka po bokach.

Samolot prowadzącego nazbyt się zbliżył. Odjął gazu. Szybkość już 100, już 110 mil na godzinę. Domy na końcu lotniska pędzą naprzeciwko. Ostatnie, miękkie uderzenia kół o beton. Ostatnie muśnięcia. Powietrze jest już dość twarde, by się nie ugiąć pod ciężarem i sześć ton kładzie się na jego barkach jak czółno na wodzie.

Przełamuję rygiel podwozia na położenie "up" /do góry/. Zapala się czerwone, ostrzegawcze światło. Długość domów migają pod płacami. Drzewa otaczają domy, jak zielona, stojąca woda. Zwiększam skok śmigła. Zamykam kabinę. Dochodzę do prowadzącego. Zmniejszam gaz. Przetawiam kran benzyny ze zbiornika głównego na zbiornik pod prawym skrzydłem. Notuję w pamięci czas przedstawienia.

Powietrze jest tak spokojne, że po zgraniu fletnerów można stery zupełnie wypuścić z ręki i pozostawić samolot samemu sobie. Nabierając wysokości formujemy się w szyki i czekamy na tych, co jeszcze są na ziemi. Ostatnie maszyny dochodzą wreszcie i zajmują swoje miejsca. Zgrupowanie przyjmuje kierunek w prawo od słońca. Przejrzystość jak z bajki; w dole tylko tu i ówdzie czołgają się smugami mgły i dymy.

Lot nad lądem się dłuży jak zwykle na początku wyprawy. Cel ciągle daleko jeszcze w przodzie. Później już, po wykonaniu zadania, czas ulegnie przyspieszeniu i poleci szybciej.

Nad kanałem 5/10 pokrycia płytkimi chmurami. Morze wygląda jak duże kałuże wody z wysepkami lądu. Dzięki ostrej jasności chmur i mrocznemu kolorowi wody w dole, otrzymuje się z tego obrazu krańcowo przeciwnie wrażenia. To właśnie białe chmury wyglądają jak rozlana woda, a tło wody pod nimi wygląda jak plamy brudnego lądu. Szybkość na liczniku wykazuje 200 mil na godzinę. Ponieważ jesteśmy już na znacznej wysokości, przeto szybkość właściwa jest większa, gdzieś w granicach 250 mil.

Brzeg francuski zarysowuje się w głębszej odległości — w odległej głębokości żółta i siwa linia. Linia grubieje, zbliża się, podchodzi pod samolot. Tu właśnie mamy spotkanie z bombowcami. Robimy jedno szerokie okrzyknięcie i oto bombowce już nadciągają. Ogromny, czarny rój sunie nad chmurami z północnego zachodu. Gdzieś za nim, daleko w tyle, wychodzą dopiero z horyzontu w pole dostrzeżeń, suną inne roje. Zajmujemy swoje miejsca naokoło bombowców, przecinamy linię brzegu w dole i zdecydowanie idziemy w głąb lądu. Szyk nieco się rozluźnia, by każdy miał więcej swobody w obserwacji. Zaczynam odczuwać brak tlenu, więc przypinam maskę wiszącą mi dotychczas luźnie pod szyją. Ziemia pamiętająca o nas wysyła sygnały.

—Hallo, Wolf leader... Warrior



Dodatkowe tanki z benzyną wyrównane w szereg na lotnisku i gotowe do podcepienia; to one wraz z innymi właściwościami "Thunderbolta" czynią z niego maszynę o wielkiej wartości bojowej

calling... Nierozpoznane samoloty w górze po lewej.

W górze po lewej jest słońce, a pod słońcem barankowate stada cirrusów. "Focke Wulfy" mogą siedzieć za tymi stadami, jak za parawanem, ale nie chce mi się wierzyć, by siedziały. Musiałyby mieć swoje lotniska na cirrusach. Z ich lotnisk odsuniętych za Paryż i pod Belgią żadna siła nie przeniesie ich wyżej od nas, przyjmując, że wystartowali na alarm po nas. Może być co prawda zbieg okoliczności, że siedzieli na patrolu jeszcze przed naszym lotem, ale na taki patrol więcej, niż kilka maszyn nie idzie. A lotnisk bliższych brzegu Atlantyku w północno-zachodniej Francji przecież nie widziałem. Przedstawia ona obraz nędzy i wojny. Hangary, składy popalone, wybieżnie posekane od wybuchów, całe pola wzlotów podobne krajobrazowi księżycowemu. Czasem tu i ówdzie widzi się czarny, żarty ogniem rupiec tego, co było "Ju. 88", lub "Me. 110".

Nic więc nie maći naszego lotu. Płyniemy równo, sennie nad Francją skąpaną w blaskach porannego słońca. Widoczność taka, że trudno o lepszą. Przelatujemy nad osiedlami, mijamy miasta, jak się mijają przy jeździe służy na rozstajach. Wgłębiając się coraz bardziej we wnętrze terenu okupowanego przez nieprzyjaciela z niezachwianą zaciętością — niewzruszeni, niesporadycznie ani na pół stopnia z naszego docelowego kursu.

Daleko po lewej wylania się Paryż. Czas od przekroczenia brzegów Francji poszedł szybciej i już będzie nadal zachowywać przyspieszenie. Paryż ma więcej bary i słoneczności w sobie, więcej rumieńca, niż Londyn. Sekwana jak warkocz kobiecy. Szukam wieży Eiffla, ale nie mogę znaleźć, bo właśnie moje lewe skrzydło weszło na tę część, gdzie powinna być.

Paryż przesunął się ruchem pełzającym do tyłu i zapadł w niewidoczność. Cel-lotnisko dotychczas jeszcze nie bombardowane, właśnie się zbliża. Bombowce strzelają jakieś sygnały świetlne, których znaczenia nie znam. Wyprawa leci teraz prosto jak po nitce. I teraz właśnie zaczyna się opiekować nami ciężka artyleria przeciwnolotnicza. Duże, czarne kłęby dymu rwą się w gęstych, skupionych seriach. Seria nadbiega za serią tak, że dymy wybuchów łącząc się ze sobą w powietrzu tworzą gęstą, czarną drogę, która nam towarzyszy.

Na szczęście wszystkie wybuchy są niecelne. Lecz nawet gdyby były, teraz, w tej chwili, żaden bom-

bowiec nie zmieni swego kursu. Lecą tę minutę jak w natchnieniu. Bombardierzy przywarci teraz do celowników całą swoją uwagę, skupieni i zacięci nie widzą i nie dostrzegają nic, co nie jest celem. Gdyby ktoś został wytracony pociskiem z szyku, szyk ani drgnie. Taktyka wróciła w tym do czasów napoleońskich, gdy jedyną reakcją zwartego oddziału piechoty na wylom, jaki robił w jej szeregach granat, była komenda: "szlusuj".

Cel podchodzi pod skrzydło samolotu i ginie z oczu. W tej samej chwili z kadłubów bombowców zaczyna się sypać ciemne, podłużne kształty bomb. Ciekną w dół jak paciorki po niewidocznym sznurku. Zawracamy szerokim, łagodnym półkolem z powrotem na północ. Artyleria grzmoci w nas bez przerwy. Czarne, brudne rozpryski rozrywają błękit nieba. Leczą poza tym nikt nas nie niepokoi. Aż nie chce się wierzyć, że to jest teren nieprzyjacielski. Gdzie jest podziela "Luftwaffe"? Została wyparta z lotnisk zachodniej Francji. Nie może się przeciwstawić skutecznie połączonemu lotnictwu Sprzymierzonych. Bombardowana bez ustanku, ostrzeliwana z lotów koszących na ziemi, niszczone w porażającym tempie w walkach powietrznych wycofała się z nieba zachodniej Francji i oszczędza się jak może.

Gdy dolatujemy z powrotem do brzegów francuskich, niewidoczne samoloty na wysokości 30.000 — 35.000 stóp orzą niebo w białe skiby wzdłuż i w poprzek. Jest to wysoka osłona, "top cover", robiona przez "Spitfire'y". Kto wie, może to właśnie są dywizyjony polskie.

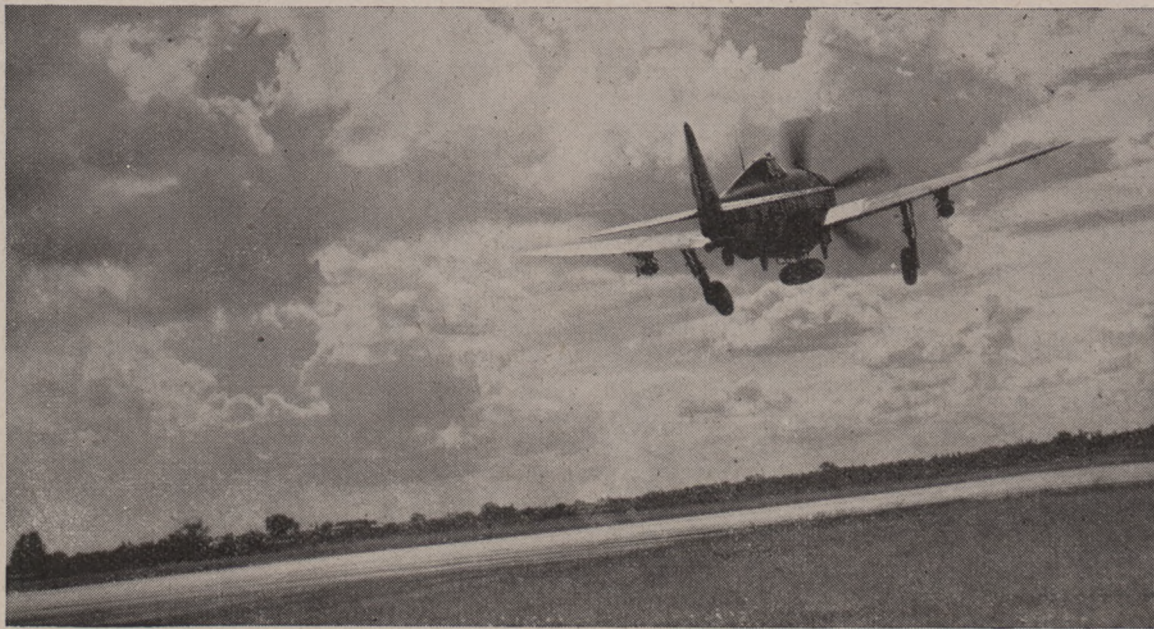
A oto z północy nadciągają nowe masy samolotów. Spotykamy się z nimi twarzą w twarz, tylko, że one lecą nieco niżej od nas. Na prawo i na lewo, gdzie spojrzeć, ogromne zgrupowania bombowców. Idą na Francję, tam skąd my wracamy. Wysoko i po bokach suną, jak psy myszkujące, dywizyjony myśliwskie. Widok ten przypomina mi prawem kontrastu rok 1940 we Francji.

Gdy się leciało wtedy w małym zgrupowaniu samolotów francuskich, spotykało się na każdym kroku druzgoczącą przewagę. W powietrzu roilo się wszędzie od Niemców. Czasem musieliśmy uciekać niesławnie przed dziesięciokrotną przewagą, a czasem w ogóle nas nie zaczepiano, bo brano widocznie za samoloty niemieckie, przypuszczając i zresztą słusznie, że lotnictwo francuskie już prawie nie istnieje.

Teraz role się odmięły. Zmieniłem "Morana 406", który nie mógł dogonić żadnego samolotu niemieckiego, ani przed żadnym uciec — na "Thunderbolta", przed którym żaden samolot nie ucieknie. Zamiast jednego działka mam osiem, szybkość o 1/3 większą, pułap wyższy, zasięg trzykrotnie większy. A przede wszystkim nie lata już więcej w grupkach po 7 — 9 samolotów, co właśnie robiłem w dywizjonie francuskim. Najmniejsze zgrupowanie idące na operację wynosi właśnie 3 dywizyjony, t.j. 48 samolotów. Bywają natomiast zadania, gdy się leci mając dokoła siebie setki samolotów własnych.

Z głębokim, mocnym szumem podchodzi mój samolot do lądowania. Znowu jestem o jeden lot bliższy zwycięstwa.

STEFAN ŁASZKIEWICZ



# U dowódcy frontu włoskiego

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



General Alexander

/rys. Marian Walentynowicz/

Włochy, w lipcu

Gdy przejeżdża się jedną z głównych szos Włoch środkowych, uwagę podróżnego zwracają na pewnych odcinkach tej szosy w odstępach rozmieszczone tablice orientacyjne, powtarzające wciąż tę samą tajemniczą literę. Najprzód czytamy, że do miejsca, oznaczonego ową literą Y, jest pięć mil, później — cztery, trzy, dwie, aż wreszcie mijamy napis: "Uwaga na następnej mili. Wjazd do Y".

Parokrotnie przejeżdżałem tą szosą i za każdym razem intrzygowała mnie owa tajemnicza litera. Co ona może oznaczać? Teraz zagadka została rozwiązana. Ów szary znak oznacza kwatery główne dowódcy frontu włoskiego, generała Alexandra. Dowiedziałem się o tym z okazji wizyty, jaką właśnie złożyłem wielkiemu wodzowi brytyjskiemu i rozmowy, którą z nim odbyłem.

Kwaterna główna gen. Alexandra znajduje się w ślicznej okolicy, jednej z najbardziej malowniczych, jakie dotychczas widziałem we Włoszech. Na rozległej przestrzeni, ogrodzonej i czujnie strzeżonej, wzniesiono tam istne miasto namiotów. Obóz jest tak rozległy, że odnaleźć dany oddział kwatery głównej lub dany namiot nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Namioty są przeważnie amerykańskie, niezwykle wygodne i urządzone komfortowo. Wszędzie jest światło elektryczne /obóz posiada własne dynama/ i telefon. Oprócz namiotów, w skład kwatery wchodzi liczne wozy: dowodzenia, łączności i kontrolne. Wspomnieć też należy o licznych kasynach oficerskich /Anglicy i Amerykanie jadają oddzielnie/, kuchniach żołnierskich, łaźniach, kinie polowym, parkach samochodowych i t.p.

Wewnątrz obozu dość znaczny obszar jest ogrodzony jeszcze jednym drutem i strzeżony przez liczne posterunki. Napis na tablicy, już pośrodku tego ogrodzonego obszaru, głosi: "C. in C. Camp" /Obóz naczelnego dowódcy/. Przy wiodących do tego obszaru wrotach czytamy inny jeszcze napis: "No entry except C. in C., C.C.S., C.C., D.C.C., S.A.O.S." Znaczy to, że wstęp jest wzbroniony dla wszystkich, prócz naczelnego dowódcy, szefa sztabu i paru kategorii wyższych oficerów sztabowych.

Za drutem, na lekkim wzniesieniu, widać duży namiot generalickiej "messy" oraz drugi, mniejszy, w którym dowódca frontu przyjmuje swych gości. Nieco dalej, jeszcze wyżej, stoi wóz mieszkalny generała Alexandra. Tu znajduje się centralny punkt, z którego rozchodzi się na całe Włochy dyspozycja operacyjna i skąd kierowana jest kampania włoska.

Gdy przybyłem do obozu z szefem brytyjskiego P.R., płk. A., i przedstawiony zostałem amerykańskiemu szefowi P.R. głównej kwatery generała Aleksandra, ppłk. B., uwagę moją zwrócił od razu wielki, szary samochód, stojący przy samym wejściu do ścisłego obozu dowódcy frontu. Na samochodzie powiewał niebiesko-biało-czerwony proporczyk z Krzy-

żem Lotaryńskim i ustawiona była przy nim francuska warta. Obok wozu zgromadzeni byli francuscy oficerowie i korespondenci wojenni. Właśnie przed chwilą generał De Gaulle, bawiący na inspekcji we Włoszech, przyjechał tutaj, by złożyć wizytę dowódcy frontu. Obaj generałowie znajdowali się w namiocie gościnnym, wypadło mi przeto czekać trochę na moją audiencję.

Po upływie kilkunastu minut, na wzgórk, za drutem, ukazała się grupa ludzi. Na czele szedł gen. Alexander i obok niego, gen. De Gaulle. Za nimi — generałowie francuscy Juin i Béthouart, generał brytyjski Harding oraz paru innych wyższych oficerów. Zbliżyli się oni niebawem do nas i wówczas mogłem przyjrzeć się im dokładnie. General Alexander, szczupły, niewielkiego wzrostu, o smukłej, wysportowanej sylwetce, jasnowłosy i niebieskooki, ubrany był w kurtkę koloru jasnoniebieskiego, z licznymi wstążeczkami orderowymi na piersi. Co uderza przede wszystkim w generała De Gaulle, to jego wzrost. Jest bardzo wysoki i nieco pochylony. Twarz ma chudą, włosy dość jasne. Na ogół wygląda nie zupełnie tak, jakby wydawać się mogło z fotografii.

Przy samochodzie nastąpiło pożegnanie dowódcy frontu włoskiego z prezydentem tymczasowego rządu Francji. W chwilę potem generał Alexander podszedł do mnie z wyciągniętą ręką i rzekł zupełnie czystą polszczyzną:

"Dzieńdobry panu". Udaliśmy się do gościnnego namiotu dowódcy frontu, który przypomina elegancko urządzone bar hotelowy. Tu podano wkrótce herbatę. Zasiadliśmy do niej we trzech: generał Alexander, jego adiutant, młody kapitan amerykański i ja. Rozpoczęła się rozmowa, która trwała około godziny.

Przed wszystkim General oświadczył mi, że zna Polskę.

"Byłem tam" — rzekł — "w 1919 roku, wraz z Komisją Międzysojuszniczą i generałem Carton de Wiart. Byłem wówczas podpułkownikiem gwardii. Spędziłem w Polsce trzy miesiące, w Warszawie, Lwowie, Wilnie i Brześciu n.B. Byłem pod głębokim wrażeniem gorącego patriotyzmu Polaków, którzy wówczas dopiero co odzyskali niepodległość. Warszawa jest bardzo pięknym miastem... Ale... przypominam sobie, że zwiadałem tam piękną galerię obrazów..."

"Zapewne Zachętę..."

"Tak, tak... Pamiętam też piękny park, przy jednej z alej..."

"Łazienki..."

"Poznałem w Warszawie sporo osób, m.in. waszego wielkiego Paderewskiego. A także i Zamoy-skich".

Pytam Generala, czy nie znał Marszałka Piłsudskiego.

"Nie" — odparł — "niestety, nie było sposobności po temu... Mieszkałem w Warszawie w hotelu Bristol. Ciekaw jestem, czy w mię-

dzyczasie stolica wasza zmieniła się bardzo".

Opowiadam Generalowi, jak bardzo Warszawa rozwinęła się w ostatnich latach przedwojennych. — "Obecnie" — dodaje — "znaczna jej część jest w gruzach".

"Szkoda" — odpowiada generał Alexander — "wielka szkoda, gdyż było to wyjątkowo miłe miasto... Ale odbudujecie je".

Dalszy ciąg rozmowy toczył się na temat wojsk polskich we Włoszech.

"Żołnierze polscy" — oświadczył generał Alexander — "są znakomici i mają pierwszorzędnego dowódcę w osobie generała Andersa. Jestem dumny, że mam ich tutaj, we Włoszech, pod moim dowództwem. Mają oni tylko jedną wadę: jest ich zbyt mało. Pragnąłbym mieć tutaj więcej takich żołnierzy polskich, jak ci, którzy walczą obecnie. Dajcie mi ich większą ilość. Wartość żołnierza polskiego jest ogólnie znana. Polska była zawsze krajem dobrych żołnierzy i dlatego spokojny jestem o jej przyszłość. Order Łaźni, którym odznaczony został generał Anders, stanowi, jak zresztą on sam słusznie to zaznaczył, wyraz dobrej zaśluzonego holdu dla całego II Korpusu polskiego. I obecnie również Polacy zajmują bardzo ważny odcinek frontu..."

General pyta mnie, czy widziałem Cassino, klasztor i miasto. — "Było bardzo trudno zdobyć te pozycje" — powiada.

Następnie była mowa o przysz-



Order Łaźni — "The Most Honourable Order of the Bath" — nadany przez J.K.M. Jerzego VI. gen. Andersowi. Jest to jedno z najwyższych i najstarszych odznaczeń Anglii, zostało ustanowione w r. 1399 i wznowione w r. 1725. Krzyż orderu wojskowego jest złoty z emaliowanymi białymi polami

ści Polski i o Niemczech. Przypomniałem Generalowi dzieje odwiecznego imperializmu niemieckiego, w różnych epokach historii. Czyż wielcy mistrzowie Zakonu Krzyżackiego, Fryderyk Wielki, Bismarck, Wilhelm II, bardzo różnili się od Hitlera? Byli oni przecież właściwie tym samym, tylko w odniesieniu do innej epoki i okoliczności... Te ostatnie zmieniły się wprawdzie, lecz treść pozostała ta sama. Wspomnieliśmy o teżach Vansittarta i o najnowszej książce Emila Ludwiga: "Jak traktować Niemców?"

"Tak" — oświadczył generał Alexander — "trzeba raz na zawsze zniszczyć imperializm niemiecki. I zrobimy to tym razem".

Następnie dowódca frontu włoskiego objaśnił mi obecną sytuację wojenną we Włoszech.

"Odnieśliśmy wielki sukces" rzekł. — "Gra nie była bynajmniej łatwa. Niemcy są wciąż jeszcze bardzo dobrymi żołnierzami. Biją się zaciekle, mają dobrych dowódców i po klęsce szybko przychodzą do siebie. Jest to jeszcze zawsze niebezpieczny przeciwnik. A jednak, pomimo to wszystko, wygraliśmy partię i w ciągu sześciu tygodni poszliśmy naprzód przeszło dwieście kilometrów. Wzięliśmy Rzym i stoimy niedaleko Florencji. Zawdzięczamy ten sukces przede wszystkim wartości bojowej wszystkich wojsk, jakie mam pod moim dowództwem: amerykańskich, brytyjskich, francuskich i polskich. Wszystkie one były się wspaniale".

General pyta mnie o moje wrażenia z Włoch i o dalsze plany reporterskie. Widać, że interesuje go żywo technika pracy dziennikarskiej na froncie. Słucha uważnie wyjaśnień i dorzuca kilka bardzo trafnych uwag. Potem podnosi się i żegna mnie po polsku. "Do widzenia panu. Szczęśliwej drogi!". Musi mieć znakomitą pamięć, jeśli po tylu latach zdołał zapamiętać tak dobrze dość trudne polskie wyrazy.

Pozostałem w namiocie sam z adiutantem Generala. Młody kapitan amerykański mówi doskonałe po francusku. Spędził dziesięć lat w Paryżu. Opowiedział mi wiele ciekawych rzeczy o systemie pracy dowódcy frontu włoskiego, o jego niezmiernie pracowitości i darze szybkiej decyzji. Wyznał mi, że jest szczęśliwy, iż może pracować pod takim wodzem. Opowiedział mi też, jak wiele przyjaźni i uznania żywi generał Alexander dla naszego narodu i naszych żołnierzy.

Ciemniało już, gdy poszedłem na przechadzkę po obozie. Nad nieuruchomioną, gładką taflą wody unosiła się lekka, wieczorna mgła. W namiotach szczykano się do snu. Tu i ówdzie słychać było dźwięki muzyki z aparatu radiowego lub gramofonu. W nadbrzeżnych trawach ćwierkały świerszcze. Nagle ujrzałem błękitną kurtkę generała Alexandra. Zamyślony, obmyśl między drzewami. Może chwytał plany dalszych bitew...

Dowódca frontu włoskiego dekoruje "Orderem Łaźni" dowódcę II. Korpusu Polskiego po zdobyciu Monte Cassino



## Widziałem ich...

Znałem ich dawniej w Szkocji, widziałem ich ostatnio gdzieś w Anglii. W mieście i na kilkudniowych ćwiczeniach w polu.

Ci sami ludzie, a jednak nie ci sami. Co za wspaniali chłopcy. Prawdziwi żołnierze. Serce dumą wzbiera, gdy się ich widzi — poważnych, zrównoważonych, doskonale prezentujących się zewnętrznie. Zniknęły ślady bytowania w szkockiej Kapui. To już nie owe rozbuhanie "flajtusy", wystające całe dni przed kinami, uganiające za dziewczynami i z nimi, barykadujący wszystkie bary lub rozkładający na dancinгах black-watchów. To nie owi "bohaterowie", bez względu na wiek, stopień lub dyplom, których jedynymi tematami były zdobycze miłosne, liczba wypitych "drynków" i nocy przebicowanych w brida.

I dziś w pięknym mieście gdzieś w Anglii również jest pełno żołnierza polskiego, jednak dyskretnie chowa się w cieniu. Niezwykle korystnie odbija od innych żołnierzy sprzymierzonych. Szlifowanie bruków i "łowcy na upatrzoną" objęli po nich w spadku Francuzi

i Amerykanie. Polacy spacerują pojedynczo lub małymi grupkami, battledressy na nich jak ulane, spodnie wyprasowane "na nóż", buty lśnią, beret normalnie na głowie, nie dandyśko — fantazyjnie jak w Szkocji. Satisfakcja popatrzyć, radość, że to nasi. I jeszcze jedno. Oddają honory starszym stopniem nie z miną urażonego lub pokrzywdzonego, lecz z głębokiego przekonania, że tak powinno być, że to jest konieczne nie tylko dla utrzymania nieodzownej dyscypliny, ale również dla wzajemnego szacunku.

Zetknąłem się z nimi w polu, w czasie ćwiczeń. Tutaj pierwszorzędne walory żołnierza polskiego jeszcze bardziej się wybijają. Oficerowie i szeregowi tworzą dziś w tej dywizji, a niewątpliwie we wszystkich innych, które są w akcji — naprawdę jedną bryłę, wspaniałe wymodelowaną w ciągu niespełna roku, rękami doskonalego rzeźbiarza. Nie ma różnicy stanowej, śpiją razem pod tym samym czolgiem czy działem, jedzą razem z tego samego kotła, słuchają wspólnie tego samego radia.

Krótko: są towarzyszami tej samej doli i niedoli, świadomi, że jedni bez drugich nie ostaną się i wzajemnie są sobie potrzebni. I to wszystko osiągnięto bez naruszenia dyscypliny i bez użycia /zresztą źle pojętej/ dla stanu oficerskiego.

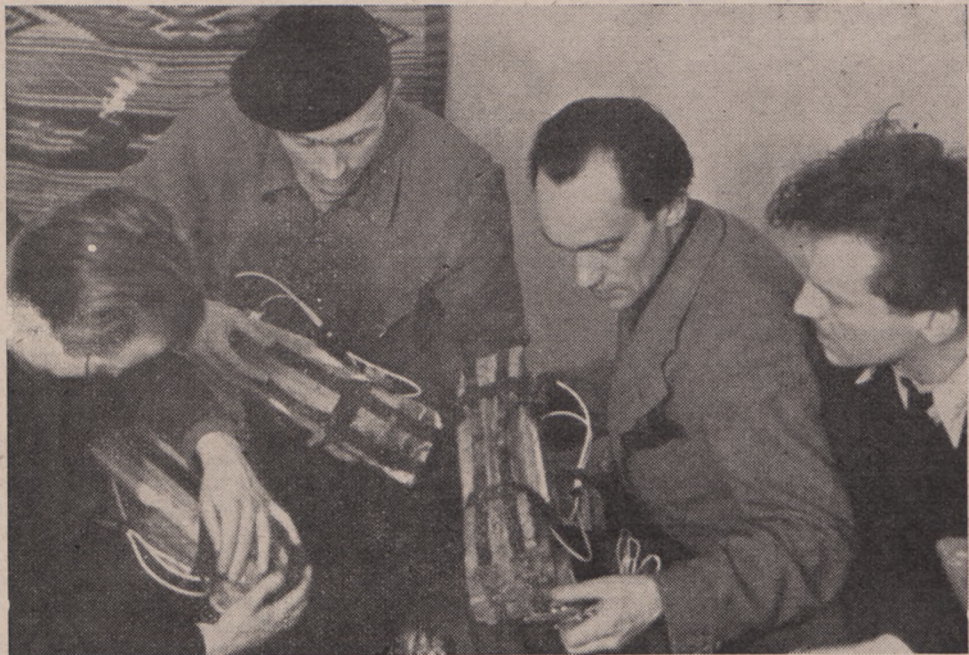
Obserwowałem ich uważnie. Spokój, opanowanie, zdecydowanie, powaga, zawziętość i stanowczość bije z oczu oficerów i szeregowych. Wiedzą, że zaniedługo zmierzą się z odwiecznym wrogiem, wiedzą, że niełatwe to zadanie, ale tej chwili oczekują z bijącym sercem, sercem pełnym bólu i tęsknoty. I nie zawiodą.

Pokrzepiony jak w najczystszej krynicy, wracałem pełen otuchy, podniesiony na duchu. Przedem wszystkim zaś upewniony, że Londyn ze swymi małostkami i prowincjonalnymi intrygami to nieważny epizod w życiu Polski, że Polska prawdziwa znajduje się wśród wojska o szczerym, prostym, żołnierskim sercu. Tak było zawsze i tak jest obecnie.

WACŁAW SZPERBER

ROMAN FAJANS

# Armia Krajowa walczy z Niemcami



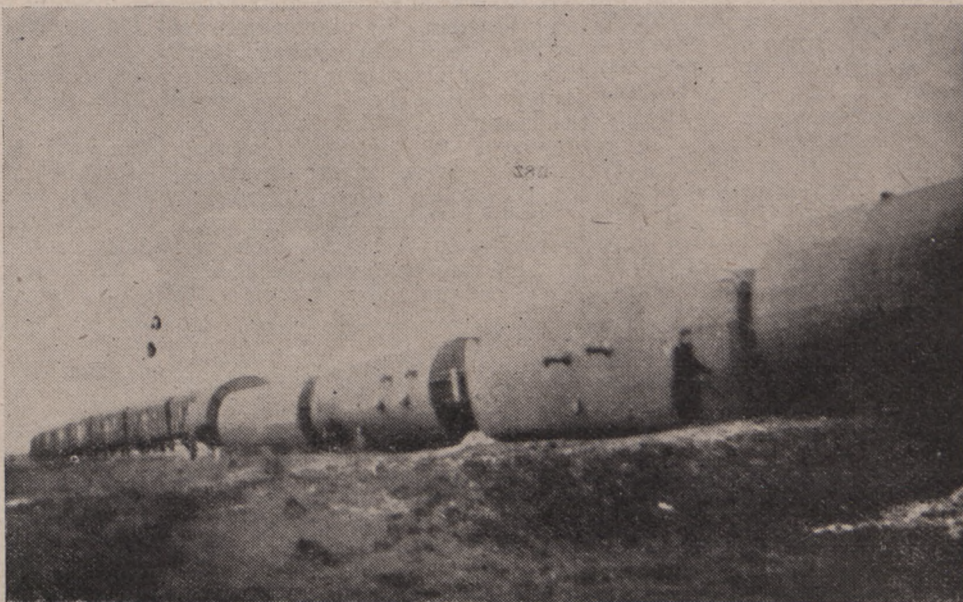
Badanie min przed wysadzeniem mostu w pobliżu Pogorzna



Wysadzenie mostu na rzece Wistoká w nocy z 5/6 kwietnia b.r.



Niemiecki pociąg wojskowy wysadzony w powietrze



Inne zdjęcie wyników tego aktu sabotażu, który miał miejsce 12 kwietnia b.r.



Oddział 23 pułku, który brał udział w walkach o Luck i Kowel współpracując z wojskami sowieckimi — zdjęcie z lutego b.r.



Oddział przystosowany do walk w terenie pokrytym śniegiem, brał udział w walkach wokół Wilna — zdjęcie ze stycznia b.r.



Karabin maszynowy zdobyty na Niemcach i używany przez Armię Krajową



Ciężki karabin maszynowy jednostki nr. 9 w akcji

# Dwa listy z Burmy

Kilka lat temu pewna ilość oficerów polskich została odkomenderowana do szkolenia oddziałów murzyńskich w angielskiej Afryce Zachodniej. Po chlubnym wykonaniu zadania wielu z nich dowodzi teraz tymi oddziałami w Indiach i Burmie. Dwa listy, które drukujemy są pierwszym odzwierciedleniem pracy i warunków życia tej grupy Polaków, służących w spólnie w Dalekim Wschodzie.

(Przyp. Red.)

I.

Szanowny Panie Kolego,  
Piszę "Kolego", bo gdybym miał pisać do Redaktora nie wycisnąłbym słowa ze siebie.

Dziękuję za list, który był bardzo miłą niespodzianką dla mnie, bowiem nie przypuszczałem, że "skorzystacie" i umiścieście moje pozdrowienia dla Przeciwołotników.

Rodzina przeciwlotnicza nie była bardzo liczna, jak również nie należała do najmożniejszych, choć śmiało mogę powiedzieć, że była najmodniejsza. Przechodziliśmy różne okresy, uśmiechów, zgrzytów, szczęść i nieszczęść, tak samo jak tyle innych Rodzin Broni, w wyniku czego porożniło nas po całym świecie. Jest nas garstka w Anglii, w Afryce Zachodniej, Europie /Włochy/, Azji /Burma/, a nawet mieliśmy przedstawicieli w Ameryce. Ja należę do tych Indyjsko-Burmeńskich i o nich właśnie zamierzam pisać.

Naturalnie, że zaczę od pogody, bo to przecież moja pierwsza wizyta w "Polsce Walczącej". Gorąco tutaj jak w piekło /nigdy tam nie byłem, ale teściowa mego brata, która podobno stamtąd pochodziła, zwykła tak mówić/. Myślałem, że do tropikalnych upałów przyzwyczaiłem się w czasie mego pobytu na afrykańskim Złotym Wybrzeżu, Sierra Leone i Nigerii — ale gdzie tam...

Słońce tutejsze wypija nie tylko wszelkie płyny, które posiada moje grzeszne ciało, ale zamraża umysł i zaciemnia pamięć. Spocona kreatura ludzka czyni więc wszelkie możliwe wysiłki aby ograniczyć swe ruchy do minimum. Czasami to się udaje i człowiek po prostu leży na polowym łóżku w cienistym bambusowym domku, częściej jednak musi się snuć od stanowiska do stanowiska w niekzwanie trzęsącym samochodzie, lub — co gorsze — grzebać się w papierkach w baterijnej kancelarii.

Na szczęście przepisy mundurów obowiązujące tutaj nie są tak bezwzględne, urzędujemy więc i "walczymy" bez koszul. Gole kolana i torsy, a na głowie t.zw. "bush hat" /kapelus z korka/.

Wojskowych stopni naturalnie nie nosimy, za wyjątkiem sierżanta-majora /sergeant-major/: szef baterii/, który /taki tutaj zwyczaj/ nosi swój emblemat władzy na przegubie prawej ręki /korona w wieńcu laurowym/. Nawiasem mówiąc, mój Battery Sgt-Major wie, że Wilno należało do Polski, bo w czasie pokoju był właścicielem "timber business'u" /przedsiębiorstwo handlu drzewem/ i sośnie sprowadzał właśnie z wileńskiego.

Murzyni znoszą upał bez szemrania, choć pytani: — "Plenty hot, isn't it?" /Dobrze ciepło, co?/ — odpowiadają: — "Hot pass Nigeria".

Owszem oni też się pocią, ale to dla nich normalne zjawisko.

Koniec pocenia. Teraz o okolicy. Okolica piękna, niestety zanieczyszczona przez tubylców, których są wszędzie tuby masy. Obdarci, brudni, szwargoczą niezrozumiałym dla nas językiem i nieprzychylnie spoglądają na wojsko.

Droga wieje się wśród szachownic pól ryżowych. Droga zaznaczona na mapie: "Motorable in dry season" /do użytku samochodowego w suchej porze roku/, szeroka, o twardej nawierzchni glinianej, jest zmorą z powodu kurzu. Setki samochodów pędzących do i z portu, unoszą tumany kurzu, który wbił się we wszystkie możliwe pory ciała ludzkiego. Po kilku milach przebytych na tej drodze, biali stają się murzynami, a murzyni białymi.

Na szczęście racje "tea" w armii brytyjskiej są po prostu ponad zużycie, toteż częste lyki tego nektaru umożliwiają przebycie tych przestrzeni w jakim-takim stanie zdolności bojowej.

Wprawdzie to tajemnica wojskowa i nie powinienem tutaj wspominać o "zdolnościach bojowych", ale skoro tego tematu jest

pełno w gazetach angielskich, więc i ja dorzucę o tym kilka słów.

Wypadło tak, że połowa mojej baterii zaawanturowała się aż pod Pagoda Hill /na południe od m. Kaledan/. Chłopaki maszerowali dziesięć dni przez dżunglę, niosąc na głowach 60 funtów bagażu, jak również amunicję karabinową i broń /palną powtarzalną pięciostrefową, z zamkiem ryglującym od tyłu/. Kiedy ich miałem /maszerowałem bez bagażu z wywieszonym językiem i automatycznym karabinem/ moi strzelcy, uśmiechali się do mnie, a niektórzy chwaliли się, że niosą dodatkową puszkę żywności dla ośmiu ludzi. Muł by zdechł z wyczerpania, a oni szli i szli i nie brak im było energii na śmiechy i żarty. Jeden z moich oficerów po tym marszu stracił 27 funtów wagi /przed wymarszem ważył 182 funty/.

Wysilek wojenny czasami bywa tutaj nieprawdopodobny, ale na szczęście każdy z nas ma za sobą garstkę doświadczenia i tegi trening, toteż dajemy sobie radę.

Spotkałem kilkanaście dni temu jednego z kolegów Polaków, który spędził trzy miesiące w dolinie rzeki Kaledan i przemarszerował w tym okresie około 350 mil. Czuję się wspaniale, trochę tylko narzekał na "bully beef" — za często podawany do stołu. Znalazł i na to radę. W dogodnych chwilach głuszył ryby ręcznymi granatami i tak wyżył do dnia dzisiejszego.

Doktor, Polak, który mu towarzyszył w tej wyprawie, chciał wypełnić swe wolne chwile chodzeniem na punkt obserwacyjny, ale

informacji o nas, o kraju, w którym żyjemy i warunkach życia tutaj.

Z krajów odwiedzanych w czasie tej wojny, Indie wydają mi się najbardziej drogą. Życie dla osób o ograniczonych dochodach, jak wojsko, jest po prostu niemożliwe. W sklepach i hotelach rachunki są obliczane na funty, a nie szylingi. Moneta obiegowa jest ruppee. Wszystko tu kosztuje podwójnie. Na terenie Indii nie ma spóldzielnicy wojskowych, cywilni dostawcy mają żniwo przez 12 miesięcy w roku. Trudność kontrolowania cen jest wielka.

Ulice Calcutty w dzień i w nocy są przepelnione mundurami wojsk amerykańskich. Czupurne furazjerki i barwne baretki zdobią młode, niemal dziecinne twarze kapitanów, i majorów U.S. Widzi się mundury wyjściowe /urlpowiczoł/ i ciemno brudne drelichy będących w przejeździe. Wszystkie lokale są przepelnione. Nikt tu nie liczy się z pieniędzmi. Nocne życie wre pełną parą.

Calcuttę opuszczaliśmy, żalem. Tak rzadko i na krótko odwiedzałem miasto. Ostatnie trzy lata spędziłem w afrykańskim bushu, w długich kursach morskich i bezludnych stepach indyjskich.

Po kilku dniach podróży zbliżyliśmy się do linii frontowej. Tu nastąpiło przemundurowanie i farbowanie wszystkiego na zielono. Zaopatrzone nas w czarny krem do twarzy i byliśmy gotowi.

Miejscowa ludność przypatrywała się nam obojętnie, ceny jaj

nie mniejszej ludności — 15 milionów ludzi na 261.610 mil kwadratowych powierzchni, bronił się od dawna przed zalewem hinduskim. Stosował skuteczną obronę nie budując dróg, prowadzących z zachodu na wschód. Mimo to liczba sezonowych robotników z Indii w r. 1927 osiągnęła 400.000. Bardzo tani, hinduski robotnik rolny obniżał poziom życiowy rolnika Burmy. Doprowadziło to do starą, a po Rice Riots w roku 1930 liczba robotników spadła do 2.500 rocznie.

Burmeński ryż jadamy często, a kiedy dostawy zawodzą, staje się naszym chlebem codziennym. Jest to ryż bardzo wysoko gatunkowy, wielkoziarnisty. Tubylec nie ma wiele kłopotu z łuszczeniem. Duże wydrążone pnie twarde drzew na pół rozebrane dziewczęta stoją kołem i na zmianę, rytmicznie podnoszą i opuszczają pał; wydrążenie pnia jest wypełnione do połowy ryżem. Pożywieniem ich jest ryż, okraszony czasami rybą i bananami.

Nie mało tu kłopotu mieliśmy z płcią. Pierwszych prawdziwych Burmeńczyków spotkał mi w głębi kraju. Byli to uchodźcy. Nadzy, dźwigający cały majątek na plecach w koszach trzcinowych, zgęści w kablak. Kobiety dosłownie obcepięte dziećmi. Rasa dość ładna: niskiego wzrostu, o skórze koloru miedzi. Mężczyźni noszą długie włosy, mają okrągłe twarze bez zarostu, skośne nieco, czarne

nie garstka studentów dołączyła do cofających się wojsk brytyjskich i dziś ponownie bierze udział w wojnie. Poznałem ich bliżej.

W jakies niedzielne popołudnie odwiedził mnie ksiądz katolicki, z pochodzenia Irlandczyk, wiecznie uśmiechnięty, miły — przyniósł parę książek, a poza tym "zamówił" mnie na połowe nabożeństwo. W prymitywnej świątyni, na tle czarnych i białych, wyróżniały się modlące się w pokorze postacie młodych Burmeńczyków. Niepomiernie byłem uderzony tym widokiem. Od tego nabożeństwa — w wyschłym korycie rzeki, pod bambusowym krzyżem jakaś nic nas sprzegła.

Uśmiechają się i pozdrawiają mnie zawsze z daleka. Nie mijamy się bez zatrzymania. Słowem jesteśmy na drodze do bliższej przyjaźni. Moi burmeńscy przyjaciele są bardzo młodzi i inteligentni, mówią biegle po angielsku, mają dziecinno-panieńskie twarze.

Pewnego razu jeden z nich, Sheli — zniknął z powierzchni. Nie wiedzieliśmy co mu się przydarzyło. Wyszli na patrol i nie wrócili. Aż nagle spotykam go kąpiącego się w rzece. Pytam go: — "Co z tobą?" Mongolskie czarne oczy zapaliły się świetlikami, perłowe zęby ukazały się w uśmiechu i mój przyjaciel zaczął od tego, jak to będąc na patrolu, skradł się do wioski, widział Japończyków i chciał ich przelicyć. Siedząc pod krzakiem usłyszał głosy za sobą i raptem jakaś ręka złapała go za gardło. "Już po mnie" — pomyślał. Pod japońską strażą przesiedział noc. "Gorąco modliłem się całą noc i Bóg mi dopomógł — ciągnął opowiadanie. — O świecie udało mi się nawiać. Ale zabrali mi mój pierwszy zegarek". — Powiedział to z takim żalem — biedny Sheli!

Wojna w Burmie nie jest, jakby wydawać się mogło, walką kolorowych ras w dżungli z użyciem dzidy, oszczepu i luku. Walczą tu nowoczesne bronie z pełnym okrucieństwem. Warkot ciężkich samolotów, piekło palącej się dżungli, echa eksplozji bomb lotniczych, poszczekiwanie c.k.e-mów zmieniły rozległe, bezludne obszary Burmy do niepoznania. Były tu i przedtem pożary bambusowych lasów, sitowia i zeschłej trawy, lecz to jest bez porównania z grozą zawiśnię obecnie.

Chytry Japończyk wkopuje się w ziemię i trzeba nieraz uciekać się do bardzo stanowczych środków, ażeby go wykurzyć. Normalnie każdy ma trzy pozycje. Pierwszą — gdzie wysuniętą o milę na przedpolu, gdzie obserwuje i przesłania. Drugą w tyle, gdzie walczy i opóźnia. Ostatnią, do której się cofa tylko na rozkaz — i ginie.

Jego ekwipunek jest lekki. Pożywieniem — ryż i soja. Śpi w lisich norach, wkopując się w ziemię. Modli się do wschodzącego słońca. Noszą z sobą maskoty. Wierzy w skuteczność modłów za niego tych wszystkich, którzy żegnając, zaopatrzili go w jedwabne szarfy z propagandowymi hasłami i własnymi podpisami.

Każda niemal noc ilustruje ogniami przebieg dziennych walk. Ogień artylerii i bomb lotniczych wypisuje dziwne zygalki na wzgórzach, które płoną nocą. I patrząc na różnokolorowe wstęgi pożaru doznaje się wrażenia, że to płoną neony, znane z nocnego życia miast. Neony kin, barów, hoteli i kabaretów wskazują na centra życia, neony Burmy znaczą śmierć. Obramowane bombami obozy nieprzyjaciela wygasają rano i oprócz prochu, zgłiszcz i zwęglonych ciał, nic nie pozostaje...

A kiedy nastaje monsun, ustają walki. Wojna tu trwa od listopada do maja. Potem przychodzą bezgranicznie długie dni szarugi, kiedy deszcz leje bez ustanku. Wzbrane rzeki zalewają pola i drogi. Życie zamiera. Tylko na wzgórzach czuwają placówki, aby nowy sezon walk rozpocząć z wygodnych pozycji, z furją i bez wytchnienia. Biali, czarni, Hindusi, Burmeńczycy — zjednoczeni pod znakiem Union Jack.

Burma jest ważną pozycją na froncie Dalekiego Wschodu. Droga burmeńska musi być wkrótce otwarta, aby Chinom dać pełną pomoc w zadziwiająco uporczywej walce o wolność i przewodnictwo na Dalekim Wschodzie.

RYSZARD BLUSIEWICZ



Autor pierwszego listu wśród swoich czarnych podkomendnych

/Na odwrocie fotografii jest napis: "Pozdrowienia dla kolegów z Płotniczej od kolegi z Burmy"/

mu nie pozwolono, bo nie wiedział co to "tysięczna".

Ciekawy Pan, czy widziałem Japończyków? Mógłbym żełgać, że namordowałem ich tysiące, ale skoro obiecałem pisać prawdę, więc przyznam się szczerze, że widziałem... dwu jeńców wojennych i kilkudziesięciu lotników, ale w powietrzu. Żółta to zaraza i zna chody po krzakach, ale nasi murzyni też nie chowani w mieście i wiedzą gdzie ich szukać.

Jeden z moich patrolów zaskoczył ich w czasie południowego posiłku i przesłał im kilkanaście ręcznych granatów na deser. Cieszyli się moi gunnerzy z tego kawału, choć ta przygoda zakończyła się smutnie, bo utratą jednego białego podoficera.

Tak więc żywot płynie tutaj pod słonecznym niebem indyjsko-burmeńskim. Czasami spadnie mi z nieba kilka numerów "Polski Walczącej", niekiedy zbyt rozszluchanych cierpiętnictwem i sentymentalizmem. Dziwię się wówczas, skąd u diabła w tak romantycznym narodzie tyle ikry i zaciętości.

Jest nas tutaj sporaśna garstka Polaków i chcielibyśmy wszyscy utrzymać ściślejszy kontakt z wami, ale tutejsze warunki nie bardzo temu sprzyjają.

Natomiast taki właśnie krótki list otrzymano od Pana, a nie od "Redaktora", rozkrochalił mnie przyjacielsko.

Ściskam dłoń i życzę powodzenia w walce z cenzorami.

MIECZYSLAW BOENISCH

II.

Szanowny Panie Redaktorze, Sprowokował mnie Pan do pisanie o naszym życiu w Burmie. "Słowo się rzekło..." Oto trochę

i drobiu podskoczyły do cen londyńskich. I mimo, że w Bombaju na kurę wołają po polsku — "kura", to jednak taniej niż 6 szylingów nie chciano nam sprzedać.

Równiny Bengalów pokryte są siecią drobnych pól ryżowych, obwarowanych ziemnym wałem dla zatrzymania upływu wody w porze deszczowej. Miejscowe stare farmy chowają się w zieleni rozłożystych stuletnich drzew. Omszałe budowle o ozdobnych frontonach, wznoszone z dużej czerwonej cegły są wymierającą pozostałością farmerskiej zamożności. Nowych pokoleń nie stać na nie lepszego, jak bardzo prymitywne bambusowe domki. Rosną one jak grzyby po deszczu. Coraz ich więcej i więcej. Coraz bliżej siebie. Staje się coraz ciasniej. Coraz mniej ryżu przypada do podziału bardzo licznej dziatwie Bengalów. Czarne, drobne, hałaśliwe cyganiątka uganiają po ryżowych ścierniskach, bawią się na klepskach, jakby to było gdzieś na polskiej wsi. Stogi ryżowe i rozplatanie gospodarstw są nieraz zbliżone do polskich zaścianków. Może to właśnie bengalscy cyganie podpatrzyli w Polsce?

Długi okres suszy zmusza ich do nawaniania pól. Każde gospodarstwo ma głęboką cembrowaną studnię. Na dużym kole zawieszony są drewniane garnki, a pracowite woły bez ustanku deptają ścieżkę w koło studni, obracając wał, czerpiący wodę. Czasami spotyka się skrzypiące żorawie, i ktośby powiedział, że to jest Bengal?

W Bengalów gościliśmy krótko i fantastyczną drogą poprzez rzeki i góry ruszyliśmy na wschód w stronę Burmy.

Oto A.B.C. o Burmie. Wschodni sąsiad Indii, Burma, o niepomier-

oczy, koleczyki w uszach. Są bardzo podobni do kobiet. Z twarzy nie pozna się płci. Nasi żołnierze nawet zaczęli romansować przez pomyłkę. Wszyscy pał — kobiety i mężczyźni — bambusowe fajki.

Lecz Burma to nie tylko pole ryżowe, eksportujące 7 milionów ton ryżu rocznie. To wielki rezerwuwar benzyny i oleju. The Burma Oil Company zatrudnia 40.000 robotników i wywozi 1.260.000 litrów benzyny rocznie, przeważnie do Indii.

Poza tym Burma zaopatruje cały świat w najsłynniejsze drzewo meblowe. Rzeki w północnej części zawierają bogate pokłady złota. Wielkie złoża srebra, wartościowe kamienie, cyna i guma, czynią z Burmy pokusę dla wielu przedsiębiorczych Anglików, Chińczyków i Hindusów. Właściwie Burma wypłynęła na powierzchnię 60 lat temu, wiąże się to ściśle z otwarciem Kanału Suezkiego. Ale ciągle pozostaje zagadkowa, nikt nie zna jej bogactw. Jest i będzie terenem walk o wpływy i eksploatację.

Jedno wspomnienie historyczne. Kiedy w XII-ym wieku Kublai Khan, imperator chiński najechał Burmę — król burmeński wystawił do obrony wielką armię 2.000 słoni i 60.000 piechoty. Czy nie są to cyfry imponujące? Każdy słoni miał na sobie wieże obronną i załogę 12 — 16 dobrze uzbrojonych wojowników. Z dawnej potęgi pozostały do dziś jedynie wielkie słonie. Spotykają się często, atakują nieraz nasze nocne obozy, a więc i one są po stronie Japończyków.

Podczas inwazji japońskiej w roku 1942 zabrakło przewoźcy. Naród burmeński zachował się biernie, a nawet pod wpływem japońskich agitatorów — okazywał pomoc najeźdźcy. Znikoma jedy-

# Bez blackoutu

W numerze 6-ym dwutygodnika sowieckiego: "Wojna i klasa pracująca" ukazał się artykuł Ilii Ehrenburga p.t. "Los pokoleń". Artykuł ten z wielu względów zasługuje na uwagę. Los pokoleń — to wymowny tytuł. Tak nazwać można by wszystkie dzisiejsze myśli nasze, zesrodzkodowane wokół pytań: "Jaki los wypadł nam?", "Jaki będzie los pokoleń polskich?"

Oczywiście Ehrenburg troszczy się o los przyszłych pokoleń sowieckich, zagrożonych przez... "europejski faszyzm". Według niego "faszyzm" ten musi być nie tylko rozbrojony, ale zniszczony. Żeby nikt nie miał złudzeń dodamy, że z dalszego ciągu artykułu wynika, iż odmiany "faszyzmu" i "pół-faszyzmu" kryły się na długo przed dyktaturą Hitlera nie tylko w militaryzmie Prusaków i manii wielkości D'Annunzia, ale również w okrężnicy "Jasnie-wielmożnych": "Polska od morza do morza!"

Według Ehrenburga "faszyzm" objawia się w dążeniu innych narodów do wielkości. Czai się on w idei: "Wielkiej Rumunii", "Wielkiej Finlandii" i... "Wielkiej Polski". Odpowiemy, że jeżeli każde dążenie do wielkości jest faszyzmem, to Ehrenburg gotów awansować na tamtejszego Goebbelsa. Zresztą czołowy pisarz sowiecki powinien pamiętać, że to właśnie Kremł zapewniał i zapewni uparcie cały świat, iż pragnie Polski wielkiej i silnej. A my powtarzamy niemniej uparcie, że chcemy wolnej, całej, niepokornej. Powtarzamy to z myślą o losie przyszłych pokoleń polskich. Na pewno w chwili obecnej mamy więcej powodów do zastanawiania się nad tym, niż pan Ehrenburg trosk, zwyciężając z losem pokoleń sowieckich zagrożonych przez "faszyzm".

Czytamy dalej w tym artykule: "Żołnierze rosyjscy, marynarze angielscy, lotnicy amerykańscy, partyzanci Jugosławii i Francji, którzy zginęli w bitwach przeciw "faszyzmowi", nie mogą brać udziału w sporach o przyszłość. Podlegli oni myśli, że oddają swe życie za uwolnienie ziemi od okrutnego zła. Czy ośmielił się żyjący zdrajczy polęgli bohaterów?"

Dziwna rzecz. Dziwne skojarzenie myśli ludzkich. Podobne pytania i nam cisną się na usta tylko w krańcowo różnych sytuacjach politycznych. Żołnierze polscy z Kampanii Wrześniowej, Grenadierzy i Dywizji we Francji, nasi lotnicy z "Bitwy o Wielką Brytanię", marynarze z "Orla", "Gromu", "Kujawiaka", "Orkanu", Podhalańscy spod Narviku, Karpaczczycy z Tobruku, Kresowianie spod Monte Cassino, żołnierze Armii Krajowej, którzy zginęli w bitwach przeciwko faszyzmowi — nie będą również brać udziału w sporach o przyszłość Polski. Ta przyszłość nie zagrożona przez żadną obcą moc — to święte hasło, w imię którego polegali oni, myśląc, że oddają swe życie za uwolnienie całej ziemi polskiej od obcych zaborców. Nie wiem, czy spodziewał się p. Ilija, że właśnie żołnierze polscy bez chwili wahania powtórzą w swoim piśmie jego słowa...

Tragiczna jest polska aktualność pytania: "Czy ośmielił się żyjący zdrajczy polęgli bohaterów?" Nie! Po stokroć nie! I dlatego powinien Ilija Ehrenburg napisać nowy artykuł, w którym wyjaśni, że "Jasnie-wielmożni" nie chcą Ojczyzny "od morza do morza" tylko "Od granicy do granicy", ściśle według Traktatu Ryskiego, że o tej "wielkiej i silnej", o której wspomina Ehrenburg, częściej mówił Stalin, niż my. I że wreszcie żyjący Polacy nie zdradzają tych, którzy z imieniem Polski na ustach przez pięć lat ginęli na własnej lub obcej ziemi.

Nie zdradzają, bo zdają sobie spra-

wę, że pomiędzy pojęciem wielkości obszaru kraju, która się pisze przez małe "w", a Wielkością narodu, na którą składają się setki lat i zdobyte duchowe całych pokoleń — jest zasadnicza i wymowna różnica. Nie zdradzają, bo codziennie, i w tej chwili, gdy piszemy te słowa, lotnik i marynarz polski startują z brzegów Wielkiej Brytanii do boju, myśląc, że w razie potrzeby oddadzą swe życie za uwolnienie ziemi polskiej, z tą samą myślą, gdy nadejdzie czas, pójdzie do walki na Kontynent polską dywizją pancerna czy spadochronowa. Węta myśl zobowiązuje, przypomina żyjącym o wielkiej, historycznej odpowiedzialności — odpowiedzialności za los pokoleń.

Los przyszłych pokoleń polskich nie jest zagrożony przez "faszyzm", bo "jasnie-wielmożni" umieją trzeźwo patrzeć i czytać między wierszami nawet u Ehrenburga, który w innym ustępie artykułu pisze tak:

"Chwilami wydaje się, że łatwiej jest zrobić dywizję niemiecką, niż oczyścić z kłamstw faszyzmskich umysły pewnych obserwatorów"...

I znów jakby nam z ust wyjął. Nam się też chwilami wydaje, że łatwiej rozbić dywizję niemiecką, niż oczyścić z kłamstw "umysły pewnych obserwatorów". Szczególnie, gdy kłamstw tych coraz więcej. Czasem zupełnie się już nie krepujemy, gdy n.p. nazywają Wilno "stolicą litewskiej republiki sowieckiej", którego to faktu nie uznają jeszcze nikt prócz... Hitlera; czasem kłamstwa te są zawstydzająco delikatne, gdy wytworzoną sytuację obecną na północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospo-

lonej nazywają "linią nowej Polski".

Trzeba mocno wbić w umysły "pewnych obserwatorów" słowa Ehrenburga w znaczeniu polskim o żyjących, którzy nie mogą zdradzić poległych.

W dalszym ciągu artykułu: "Los pokoleń", autor w ostry sposób atakuje niektórych Brytyjczyków lub Amerykanów, których uważa za pół — lub nawet całych "faszystów". Wśród ofiar ataku znajdujemy Mr. Knoxa, angielskiego działacza społecznego, Mr. McGovern'a, konserw. Hearsta i nowojorską "Daily News". Pisze on:

"... Wszystko u Rosjan oburza tych panów. Gdy Czerwona Armia cofała się krzycieli oni: "Nie ma co pomagać skazanym". Obecnie, gdy Czerwona Armia idzie naprzód, krzyczą oni: "To groźba dla Europy". Gdy kuranty moskiewskie grały "Internacjonal", gazety te protestowały: "Niebezpieczni międzynarodowcy". Po zaznajomieniu się z nowym hymnem naszego państwa te same gazety lamentują: "Niebezpieczni nacjonalisci". W grudniu oburzali się oni na "rosyjski centralizm", a w styczniu powstają oni przeciw sowieckiej decentralizacji.

Piszą oni: "Nie uznajemy zaboru" — i od razu wyjaśniają, że Wilno zagarnięte przez Polaków, a Kiszyniew, zagarnięty przez Rumunów, należą się z prawa zaborcom. Co znaczą te miłosne wyznania dla faszystów i te oszczerstwa przeciwko Związkowi Sowieckiemu? Jedno tylko: mikroby nie potrzebują ani wiza, ani statków ani "Clipperów"...

Jak widać z tonu i z treści, dwutygodnik rosyjski naczyniem się nie krepuje... Cenzura tamtejsza wy-daje się mniej lojalna wobec wszy-

## Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

### Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4293 książek

stkich sprzymierzonych i w niczym nie przypomina podobnych urzędów na terenie Wielkiej Brytanii i Ameryki. Rzecz godna zapamiętania. Można żądać wzajemności w tej swobodzie dziennikarskiej. Artykuł: "Los pokoleń" kończy się dość romantycznym — jak na Ehrenburga — zwrotem:

"... Gdy patrzę na dziecko, na malutkie drzewko, na grudkę gliny, myślę: czy podobna, abysmy my, którzy przeżyli dwie straszliwe wojny, zrozumieli całą nieludzką istotę faszyzmu, nie uratowali naszych dzieci przed takim samym losem? Nasza armia, nasz naród, wykazały podczas wojny dojrzałość, odwagę, siłę ducha. Wygramy wojnę. Musimy wygrać i pokój..."

Tak — wschodni sąsiedzie, Iliu! I ja i moi koledzy-żołnierze te same nosimy na małe dzieci polskie, cudem uratowane, gdy patrzymy na malutkie drzewka szkockie, które przypominają nam wileńskie lasy, na grudki gliny polskiej z ziemi lwowskiej, którą uwieźliśmy w woreczkach i nosimy na piersiach... Te same myśli, choć może z małą, nieznaną odmianą słów, wypowiadają dzisiaj Polacy na całym świecie, pytając siebie i innych: Czy możliwe jest, abysmy nie uratowali dzieci naszych przed losem pokolenia lat-tysiąc dziewięćset czterdziestych, masowo wywożonego z ziemi polskiej na Wschód i Zachód do łagrów syberyjskich i obozów niemieckich?

Nasz naród, nasza armia wykazały odwagę, dojrzałość i siłę ducha. Straszliwą, ponadludzką miarę siłę ducha. Wygramy wojnę? Jesteśmy tego pewni. Pokoju wygrać nie będziemy. My żyjący w tej czarnej rzeczywistości spokojnie patrzymy w jasną przyszłość. Bije stamtąd światłość święta bitew wrzesniowych wygrało za nas pokój. To oni wówczas zdecydowali o losie pokoleń polskich padając w obronie granic Rzeczypospolitej, gdy zagrożił jej całości pierwszy atak faszyzmu niemieckiego.

Wpatrujemy się wiernie w tę światłość. Nie zdradzimy jej nigdy.

WIKTOR BUDZYŃSKI

## Poszukiwania

WYKAZ NR. 37

Osoby te jak również znajomi, posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, Londyn, S.W.1.

- 81. Makowski Władysław sierż. i Makowski Tadeusz por. — poszukiwani przez ojca Kazimierza i matkę Wiktorie, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
- 82. Malicki Stanisław kpt., był w Starobelsku — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Marię, zam. w Z.S.R.R. /3800/100/.
- 83. Mieczko Władysław ur. 19.VII.1919 r., Lwów — poszukiwany przez brata Romualda Mieczko matką, Marynarką Wojeńską Londyn /6275/43/.
- 84. Mariak Adam sierż. — poszukiwany przez matkę Stanisławę i brata Tomasza, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
- 85. Masalski Cezary por., był w Paryżu — poszukiwany przez matkę Zofię, zam. w Z.S.R.R. /3800/101/.
- 86. Mayer /bez imienia/ kpt. — poszukiwany przez żonę Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/102/.
- 87. Michalec Andrzej sierż. — poszukiwany przez siostrę Marię i jej dzieci: Janinę, Wandę i Ursulę, zam. w Z.S.R.R. /R/18/.
- 88. Michalkiewicz Wacław — poszukiwany przez matkę, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.
- 89. Michalowski Jan, był aresztowany — poszukiwany przez matkę Michalinę i brata, zam. w Z.S.R.R. /3800/99/.
- 90. Michniewicz Zenon, był w Smoleńsku — poszukiwany przez siostrę Zofię i Wandę, zam. w Z.S.R.R. /R/20/.
- 91. Mickiewicz Michał strzel. — poszukiwany przez żonę Lidie i córkę Wiesławę, zam. w Z.S.R.R. /R/549/.
- 92. Mikowski Stanisław — poszukiwany przez syna Tadeusza, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.
- 93. Miszka Wacław sierż. — poszukiwany przez ojca Aleksandra, brata Adolfa i siostrę Alinę, zam. w Z.S.R.R. /R/55/.
- 94. Mrówka Antoni sierż. — poszukiwany przez ojca Adama, matkę Stanisławę i rodzeństwo: Jadwigę i Janinę, zam. w Z.S.R.R. /R/56/.
- 95. Naglik Józef sierż. zaw. — poszukiwany przez żonę Anastazję i dzieci: Zenona, Ryszarda i Teresę, zam. w Z.S.R.R. /3800/98/.
- 96. Nowinski Alfred por., był w Starobelsku — poszukiwany przez żonę Jadwigę, matkę i dwoje dzieci, zam. w Z.S.R.R. /R/29/.
- 97. Noskowiec /bez imienia/ sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Wandę, Stefana, Jerzego, Mieczysława i Jadwigę, zam. w Z.S.R.R. /3800/104/.
- 98. Ogiński Julian st. sierż. — poszukiwany przez żonę Annę i córkę Halinę, zam. w Z.S.R.R. /R/16/.
- 99. Okonki Jan por. — poszukiwany przez żonę Bronisławę i córkę Marię-Wandę, zam. w Z.S.R.R. /R/10/.
- 100. Orłowski Władysław — poszukiwany przez córkę Irene i Halinę, zam. w Z.S.R.R. /R/41/.
- 101. Orzeł Jerzy por. był w Kozielsku — poszukiwany przez matkę Jadwigę i siostrę, zam. w Z.S.R.R. /R/42/.
- 102. Ostaszewicz Antoni — poszukiwany przez żonę Stefanię i dzieci: Zbigniewa i Kazimierza, zam. w Z.S.R.R. /R/19/.
- 103. Owczarek Stanisław por., był w Kozielsku — poszukiwany przez synów Henryka i Jerzego oraz babkę Wroblewską Marianę, zam. w Z.S.R.R. /R/28/.
- 104. Pabian Franciszek st. wach. żand.,

- był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci: Irene, Ryszarda, Wiesławę i Teresę, zam. w Z.S.R.R. /3800/107/.
- 105. Paszkiewicz Mirosław — junak, jest podobno w Anglii — poszukiwany przez matkę Stefanię i braci: Zbigniewa i Andrzeja, zam. w Z.S.R.R. /R/16/.
- 106. Pawłowski Aleksander sierż. — poszukiwany przez ojca Aleksandra, matkę Henrykę i rodzeństwo Barbarę i Marię, zam. w Z.S.R.R. /3800/83/.
- 107. Pawluczek /bez imienia/ podchor. — poszukiwany przez matkę Annę, zam. w Z.S.R.R. /3800/105/.
- 108. Peredniczenko Borys pilot-mechanik — poszukiwany przez ojca Jakoba i matkę Marię, zam. w Z.S.R.R. //R37/.
- 109. Pietraszkiewicz Strumitła Czesław lotnik — poszukiwany przez ojca Stanisława i matkę Nadzieję, zam. w Z.S.R.R. /R/37/.
- 110. Pokoniewski Stanisław por., był w niewoli sowieckiej — poszukiwany przez żonę Marię i syna Zdzisława, zam. w Z.S.R.R. /3800/106/.
- 111. Rabach Marek dr. kpt. — poszukiwany przez żonę Felicję i córkę Irene, zam. w Z.S.R.R. /3800/84/.
- 112. Skinderowicz Henryk sierż. — poszukiwany przez Kazimierza Baranowskiego M.E.628 /6497/43/.
- 113. Urbanowicz Feliks ur. 1900 r. — poszukiwany przez obojczycką Garest Marię P/69 /6232/.
- 114. Zietara Antoni — poszukiwany przez żonę Eugenie, zam. Kolonia Santa Rosa.

Leon, Gto. Meksyk /7252/43/.  
115. Zukowski Kazimierz z pow. Baranowice, gmina Stołowice który w 1913 r. wyjechał z Polski do U.S.A. — poszukiwany przez szwagra Władysława Kończaka /Box 260/44 — G.P.O. London, oraz siostrę Malwinę Kończak /Polish Settlement Kondoa Irangi — Tanganyka E.A./.

- 1. Abłaj Julian z żoną Zofią i dziećmi: Genowefą, Kazimierza, Zygmunta, Leon /podchr. zginął w 1939 r./ przebywają: Aktiubinskaja oblaść, Rodnikowski rajon, Rodnikowa.
- 2. Andruszko Michał, przebywa: Aktiubinskaja oblaść, Temirskij rajon, K/Z 1 Maj, Borodnijskiego S/S.
- 3. Babińska Jadwiga ze synem i siostrą /mąż por. Zygmunt zmarł/ przebywają: Aktiubinskaja oblaść, Akkemir rajon, Akkemir ul.
- 4. Bednarska Janina, przebywa: Aktiubinskaja oblaść, Temirskij rajon, K/Z Put Lenina, Graczewskiego S/Sow.
- 5. Chaniec Stefan /inwalida z obrony Warszawy/ z żoną Ksawerą i córkami: Janiną i Franciszką, przebywają: Aktiubinsk ul. Promylnaja 7.
- 6. Czaplinska Czesława, z synem Romanem, przebywa: Aktiubinskaja oblaść, Martujskij rajon, Posiołek Nowo-Michajlowka.
- 7. Czop Janina, przebywa: Aktiubinskaja oblaść, Temirskij rajon, K/Z IM. Kaganowicza, Egarowskiego S/Sow.
- 8. Dabrowska Maria, przebywa: Aktiubinskaja oblaść, Temirskij rajon, K/Z Im. Stalina Nr. 17, Graczewskiego S/Sow.
- 9. Dendys Wojciech /inwalida bez rek./ z żoną Magdaleną i dziećmi: Stanisławem, Leonem, Julianem, Albinem i Julią, przebywają: Komi A.S.S.R., Kortkierowski rajon, Mordino pos. Czetedino.

## Poradnik żołnierski

Od pewnego żołnierza, ochotnika z Ameryki Południowej, otrzymaliśmy obszerny list, który — jak się spodziewamy — wzbudzi zapewne poważniejsze refleksje u naszych Czytelników-żołnierzy. Poniżej zamieszczamy urywki tego listu:

Wczytałem już kilka artykułów w "Polsce Walczącej" o Polonii zagranicą. Więc chęć napisać parę uwag od nas — ochotników z Południowej Ameryki. My ochotnicy pragniemy już wziąć udział w walce o naszą Polskę, bo już za długo siedzimy na tej Wyspie, aże nas wstyd i tutejszy naród krzywo patrzy na nas. Myśmy przyjechali do wojska służyć w czynnej służbie. Ja to rozumiem, że może warunkami na to nie pozwalają, ale zresztą nasze Władze wiedzą co czynić. Jeno przykre jest to, że nasi koledzy się z nas wyśmiewają: po co nam przyjechali, że zachciło się nam wojenki...

Przyjechałem na trzecią wojnę. Od przyznania mi kaprala w Polskim Wojsku będę obchodził teraz 25-lecie. Koledzy wyśmiewają się, że przyjechał za ochotnika ucześć 25-lecie kaprala. To jest przykre, ale ja cieszę się dobrym zdrowiem i choć ja wiele przeżyłem w tamtych wojnach, to jeszcze mogę coś zrobić, a może i dużo — jak Bóg da. Jestem ochotnikiem od kwietnia 39 roku, na co mam dowód. Chociaż los tak pokierował, że wyjechałem jako żołnierz 4 grudnia 41 roku, to jednak zdążyłem na czas, a teraz, jak i my wszyscy ochotnicy, chcemy walczyć. Pragniemy wyzwolić naszych braci i siostry, co tyle cierpienia przecho-dzą, i walczą o silną i niepodległą Polskę, za którą już tyle cierpienia ta droga nam Ojczyzna przechodziła.

Drogi Kolego! Rozumiemy doskonale Pański żal, że niektórzy żołnierze-koledzy żartują sobie z Pańskich najgłębszych uczuć. Wydaje nam się, że możemy Pana zapewnić, iż postępują tak tylko przez lekkomyślność i po prostu przez psotę. Czy nie zauważył Pan, że wszyscy prawie żołnierze mają taką dziwną skłonność do naigrzowania się, czasem nawet do wyszydzenia cudzych najświętszych nawet uczuć? Ze żołnierze zawsze wolą się śmiać, a jak ognia wystrzegają się roztkliwiania się i rozmawiania? Na pewno jest to tylko taka poza, takie żołnierskie zwady, bo w głębi duszy każdy myśli tak samo jak Pan, tak samo chciałby Polskę wyswobodzić, meki jej ukroczyć, jak najrychlej odnaleźć swoich najbliższych, zostawionych tam w Kraju... Jeśli nawet nie każdy tak myśli, to w każdym razie każdy może Panu pozazdrościć Pańskiego pięknego patriotyzmu.

## Skrzynka pocztowa

Dodaje, że organizacja ta składa się, w większości, ze studentów wyższych szkół.

Z góry serdecznie Panu Redaktorowi dziękuję za zadośćuczynienie i łączę głęboki szacunek oraz żołnierskie pozdrowienie.

Buenos Aires, 3 Maj 1944 r.

Drogi Przyjacielu!  
Pragniemy, w dniu polskiego święta narodowego, przesłać nasze gorące pozdrowienie oraz wyrazy sympatii i przyjaźni dla Ciebie, który jesteś przykładem, jednym z wielu, walecznych ochotników, których wdziliśmy odjeżdżających z naszej ziemi do otwartej walki o ideały i wolność świata.

Z komunikatów wiemy o waszych zamarach i staraniach, które realizujecie sprawnie przy stanowczej decyzji i ofiarnym poświęceniu żołnierskich i wyczynach lotników, marynarzy i żołnierzy walczących na różnych frontach. Konieczność ta, jest zapewne jedyną linią moralnej satysfakcji dla walczących Polaków, którzy, wszelkimi wątpliwościami, przeciwnostawiają mocne postanowienie walki, bo wiedzą, że wytrwałość w działaniu przyniesie im należne zwycięstwo.

Z tej okazji publicznie manifestu-

jemy, tutaj w naszym kraju, naszą wolę, ażeby stała się sprawiedliwość sprawie polskiej, przez przywrócenie niepodległości i całości Polski w świecie wolnym, w którym by szlachetny naród korzystał ze wszystkich praw i możliwości wielkich narodów, posiadając swą państwowość na terenie minimalnych granic z 31 sierpnia 1939 roku.

Zechejcie podzielić się, z kolegami walki, naszym życzeniem. Zyczliwi jak zawsze

/—/ Adolfo G. Rocca, sekretarz,  
/—/ Herman A. Wallace, prezes.  
Tumaczenie zgodne z oryginałem przesyła:

Wacław Komorowski

### CZYTELNICY "POLSKA WALCZĄCEJ" DLA JENCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. 22, 23, 24 i 25 "Polski Walczącej" wystano 316 paczek; 5 paczek odzieżowych à £2.10.0/, 97 paczek żywnościowych /à 10s./, i 214 paczek papierosowych à 1000 sztuk. Imienna lista tych, do których paczki wystano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

P. Marian Fischbach — Sprawa inwalidów. — List Pański przesłaliśmy do Biura Opieki nad Żołnierzem, które, jak przypuszczamy, wyjaśni Pańską sprawę w referacie dla spraw inwalidzkich Min. Pracy i Opieki Społ.

Zwróciliśmy się również do odpowiedniej instytucji o podanie norm zasiłków przysługujących inwalidom na terenie W. Brytanii i niezwłocznie po ich otrzymaniu ogłosimy je.

# Dla Polaków w Rosji: £11,014

W załączeniu przesyłam czek na sumę £23.36 na Midland Bank dla P.C.K. na pomoc dla Polaków w Rosji, zebrana podczas Wystawy Fotograficznej "Through Polish Eyes" w Great Malvern. Wystawa ta była 26-tą z rzędu.

Z poważaniem  
Paweł Miller

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £23.36 /słownie: dwadzieścia trzy funty, trzy szylingi, 6d./ przekazaliśmy Polskiemu

Czerwonemu Krzyżowi.  
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £11,014.7.11 /słownie: jedenaście tysięcy i czterdzieści funtów, siedem szylingów, 11d./, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

## POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Do Redakcji,  
Niniejszym załączam Money Order na sumę £4.31 /cztery funty, trzy szylingi i 1 pens/ jako czysty dochód z zabawy urządzonej przez polski personel R.A.F. Stacji Hucknall w Derby, w Merchant Hall, w dniu 15.6.1944.

Proszę o przekazanie powyższej sumy do Polish Children's Relief Fund i o zamieszczenie w najbliższym numerze "Polski Walczącej" odpowiedniej wzmianki.

Dziękuję z góry oraz proszę o pokwitowanie otrzymania powyższej kwoty.  
Z poważaniem  
Oficer Oświatowy Stacji  
ppor. J.A.

Wielmożny Panie Doktorze,  
Pozwalam sobie przesłać na ręce WP. Doktora kwotę £1, którą złożyła S. Zofia Dominówna ze Szpit. Ewakuacyjnego dla uczczenia pamięci śp. por. Euzebiusza Przybyłki, zmarłego 6.VII.1944, z przeznaczeniem na biadną dzieć polskie.

Jeszcze raz za wszystkie uprzejmości dziękując, wyrazy poważania załączam  
sługa w Chrystusie  
Ks. K. Poglódka

# Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej"  
W załączeniu przesyłam znalezione książki Z. Nowakowskiego: "Rubikon". Wobec nie zgłoszenia się właściciela — proszę o przekazanie jej na Bliski Wschód.  
T.M.

Do Redakcji "Polski Walczącej",  
Przesyłam w załączeniu paczkę książek z prośbą o zadysponowanie w/g własnego uznania.  
Załączam wyrazy szacunku  
F. Kwiatkowski

Załączone: Mszał Rzymski, Nowy Testament, "Vade Mecum żołnierza kierowcy", T. J. Fitkides: "Common Mistakes in English", A. Mickiewicz: "Pan Tadeusz", Bartholomew: "The World Pocket Atlas", "Droga Krzyżowa", Nabożeństwo do Matki Boskiej, "Koleży".

Panie Redaktorze,  
W załączeniu przesyłam 15 książek z przeznaczeniem dla kolegów na Środkowym Wschodzie.  
Z poważaniem  
"Spadochroniarz"

Załączone: F. Brett Young: "The Black Diamond", Flaubert: "Trois Contes", I. Stableska: "Milionówka", M. Bogusławska: "Po ojcach spuścizna", R. Vansittart: "Czarny rejestr", H. E. Bates: "The Fallow Land", L. G. Gibbon: "Grey Granite", M. Synoradzki: "Hetman", E. Ligocki: "Złota chorągiew", Colette: "Chéri", R. Balbaud: "Cette Drôle de guerre", A. P. Valdes: "La Hermania San Sulpicio", A. France: "Le Crime de Sylvestre Bonnard", "Wojna nerwów", "For Men Only".

Dla żołnierzy Polskich na Wschodzie: S. Żeromski: "Wiatr od morza", M. Dynowska: "Polska w zwyczajach i obyczajach", Majewski: "Kolporter", Porucznik Herbert: "Zadło Genewy", "W 600-lecie powrotu Grodów Czerwieńskich do Polski".  
M. Wróblewski

# Na "paczki od serca": £3,602

Redakcja "Polski Walczącej"  
W Londynie  
W załączeniu przesyłam 1 British Money Order na sumę £15.6.10 /słownie: piętnaście funtów, sześć szylingów i dziesięć pensów/ na pomoc jeńcom polskim w Niemczech. Suma ta została zebrana w miesiącu czerwcu b.r. przez uczniów i personel stały Dyonu Wyszkożenia Przedwstepnego A.C.T.C. w H.

Jednocześnie nadmieniam, iż w ciągu roku t.j. od lipca 1943 r. Dyon Wyszkożenia Przedwstepnego /A.C.T.C./ zebrał na ten cel ogólną sumę £262.8.2 /słownie: dwieście sześćdziesiąt dwa funty, osiem szylingów i dwa pency/.

Dowódca Dyonu  
M.B.

Na paczkę według załączonego adresu sh.9.3.  
Norbert N.

Por. J.H. ze Sl. za miesiąc kwiecień, maj i czerwiec 44 £1.17.6.

£1.2.0 pozostałe z rozliczenia — na jeńców wojennych wpłacił.  
St.Gr.

Kazimiera Herbichowa zamiast kwiatów na grób siostry ś.p. Marii Starza-Majewskiej, w 4 rocznicę Jej śmierci, składa na paczki od serca dla polskich jeńców £1 /£ jeden/.

ADMINISTRACJA FON I DARÓW  
M.O.N., 1, VANDON STREET,  
LONDON, S.W.1.

zawiadamia, że posiada paczki indywidualne z zagranicy, do podjęcia przez siebie wymienione osoby:  
1/ Bajkowski Feliks, 2/ Cieniawicz Jerzy, 3/ Gousland I., 4/ Iwaskiewicz Aleksander, 5/ Libinowski J.K., 6/ Miedzylawski Zelik, 7/ Przybył K.  
Zgodnie z obowiązującymi przepisami, Administracja FON i DARÓW

With the compliments of Kirbymoorside and District National Savings Committee, £9, being half proceeds of concert by Polish Troops.

Do Pana Redaktora "Polski Walczącej".

Proszę Pana Redaktora o przekazanie sumy £2 /słownie: dwa funty/ na "paczki od serca", które składam, ku uczczeniu dnia Święta... Pułku Ulanów, przypadającego na dzień 27.VII.

Zamiast "strzeżennego" w chwili odejścia ppor. inż. K.Z. koledy z Haslemere £3 na paczki od serca.  
płk. F.M.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £33.15.7 /słownie: trzydzieści trzy funty, piętnaście szylingów i 7d./ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Obywatelskiej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,602.15.8 /słownie: trzy tysiące sześćset dwa funty, piętnaście szylingów i osiem pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

M.O.N. podaje do wiadomości, że paczki nie podjęte w ciągu dwóch tygodni od daty niniejszego ogłoszenia, zostaną potraktowane według obowiązujących przepisów brytyjskich o paczkach niedoręczonych.

Jak najszybsze podanie dokładnych adresów do Administracji FON i DARÓW M.O.N. 1, Vandon Street London, S.W.1, leży w interesie wyżej wymienionych osób, gdyż po upływie terminu żadne reklamacje nie będą mogły być uwzględnione.

# WERINAJSEK

... ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE ...

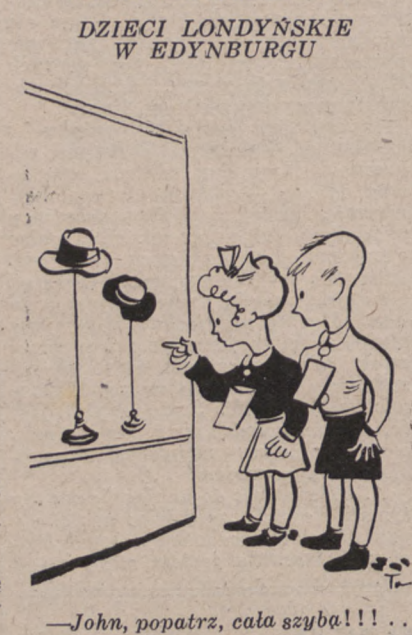


Hitler: — "Nie poddamy się i walczyć będziemy do końca. Technika zwycięży..."

HUMOR SZKOCKI  
Mówią że większa część Londyńczyków choruje na "śpiączkę" w szpitalu Paderewskiego w Edynburgu...

Podobno w Edynburgu pojawiły się napisy w urzędach polskich: "Wszystkie posady zajęte..."

ROZMOWA LONDYŃCZYKÓW W EDYNBURGU  
—Ooo, co pan tu robi?  
—Ja? Przyjechałem. A pan?  
—Ja na jeden dzień!!!  
—Ja też tylko na dwie godziny.  
—Mój panie czy pan nie wie gdzie można by wynająć mieszkanie na jakież trzy miesiące?  
—Właśnie też szukam...



—John, popatrz, cała szyba!!!...

## OSTATNIA DESKA RATUNKU



Hitler: — Wojnę przegraliśmy. Może pokój jeszcze wygramy...

ROZMOWY W LONDYNIE  
—Mój panie, które miejsce na północ od Londynu są najbezpieczniejsze?  
—Na północ??? Tylko dzielnice Glasgowa i Edynburga...

RZECZY CIEKAWY, ZABAWNE I POZYTECZNE  
Anglicy kochają się w zagadkach. Specjalnie radio przynosi ostatnio bardzo wiele takich zagadek-żartów. Podajemy parę zagadek podsluchanych w BBC /odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika/.  
a/ Dwaj cyklicy idą po prostej drodze naprzeciw siebie z odległości 20 mil z szybkością 10 mil na godzinę. Równocześnie z nimi wylatuje mucha lecąca z szybkością 15 mil na godzinę. Mucha dolatuje do jednego cyklicy, odbija się od jego głowy i lecąc do drugiego, znowu odbija się mu od głowy, lecąc z powrotem i t.d. i t.d. tak długo aż cyklicy, którzy zjeżdżają się w połowie drogi zgniatają ją na śmierć. Ile mil przeleciała mucha?  
b/ Jeśli doktor zapisze ci trzy pigułki do zażycia co pół godziny, na jak długo ci wystarczą?  
c/ Co będzie kosztować taniej: czy jeśli zaprowadzisz jednego przyjaciela dwa razy do kina czy dwu przyjaciół jeden raz?

W K.U.  
Gdy urlopowany kapral wraca do wojska:  
—Spadł nam pan jak z nieba i wobec takich kwalifikacji — przydzielam pana do Brygady Spadochronowej...

ŚWIAT NA ÓPAK  
—Gdzie mieszkają obecnie najbogatsi ludzie w Londynie?  
—W suterynach!!!...

AUTENTYCZNE  
Ulicą Victoria Street w Londynie idzie mały Andrzej w towarzystwie matki. Nagle zatrzymuje się przed uliczną latarnią.  
—A co to jest?  
—Latarnia, syneczku.  
—A do czego ona służy?...

Jakiś samolot wpadł do morza u brzegów Norwegii. Jeden z rybaków pojechał w swej łodzi na ratunek. Wrócił sam.  
—"To Niemcy", rzeki.  
—"Czy nie żyli?" spytano go.  
—"Jeden powiedział, że żyje, ale wy wiecie jak ci Niemcy kłamią".

Paderewski grał raz przed królową Victoria. Zachwycona królowa wzięła go do siebie i powiedziała: — "To było piękne! Pan jest geniuszem!" — "Być może, jej królewska Mości" — odrzekł Paderewski — "ale zanim zostałem geniuszem, byłem kujonem".  
ODPOWIEDZI: a/ 15; b/ Na godzinę; c/ Dwu przyjaciół jeden raz, bo wtedy kupujesz dla siebie tylko jeden bilet.

## POMYSŁOWY



—Co pan tu robi?  
—Czekam na torpedę. Nie słyszysz pan, że brzęczy...

"DOWCIP" PIECHOTY  
—Pan wie, że tylko kawalerzyści mają prawo wrócić do kraju?  
—Dlaczego?! Skąd te przywileje?  
—Ponieważ w kraju tępiona jest inteligencja...

W KOMENDZIE UZUPEŁNIEN  
—Kto pan jest? Zawód?  
—Papiarz?  
—Co pan zwariował? Papiarz jest w Rzymie!  
—W tym to ja jestem blacharz, w lecie robię w papie...

W EDYNBURGU  
—Czego pan ziewa?  
—Jestem niewyspany! Wczoraj ogłosił jedynominutowy alarm próbny...

Tekst i rysunki: TONY

Zarząd Związku Ziemi Północno-Wschodnich zawiadamia, że w związku z urlopami letnimi w czasie od 15 lipca b.r. do 15 sierpnia b.r. urzędowanie w lokalu Związku na 45, Belgrave Square odbywać się będzie trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki od godziny 16.30 do 18-ej po południu.

## SPIS RZECZY:

Tymon Terlecki: Jeńcy z Normandii. — Droga żołnierza polskiego. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Roman Fajans: U dowódcy frontu włoskiego /Korespondencja własna "Polski Walczącej"/. — Wacław Szepter: Widziałem ich... — Stefan Łaszewicz: Z dywizjonem amerykańskim. — Armia Krajowa walczy z Niemcami /Reportaż fotograficzny/. — Mieczysław Boenisch, Ryszard Blusiewicz: Dwa listy z Burmy. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Poszukiwania. — Poradnik żołnierski. — Skrzynka pocztowa. — Dla Polaków w Rosji. — Na "paczki od serca". — Zbiórka książek. — Tony: Werinajsek. — Rysunek Mariana Walentynowicza. — Fotografie.

**BĄDŹ RZEŹKI**  
Nie upadaj na duchu z powodu zmęczenia lub pogarszającego się stanu zdrowia. Używaj pasa LINIA BELT, który umiejscawia opadnięte organa wewnętrzne i działa jako masaż, usuwający tłuszcz oraz przywraca młodzieńczy wygląd.  
Ograniczoną ilość pasów Linia Belt ofiarowując.  
J. ROUSSEL LTD.,  
179-181 Regent Street, London, W.1. tel. REG 5750  
oraz w Birmingham, Glasgow, Liverpool, Manchester itp

**Używaj pasa LINIA BELT**

KOMUNIKAT  
Wobec zawiadomienia Związku Kolejarzy Polskich, pismem z dnia 15 lipca b.r. L.Dz.3258/W.Pol./44, przez Ministerstwo Obrony Narodowej o zezwoleniu żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na należenie do Związku Kolejarzy Polskich w Wielkiej Brytanii, Koledzy, którzy dotychczas nie zarejestrowali się, zechcą nadać swe zgłoszenia do Związku Kolejarzy Polskich w Wielkiej Brytanii — 54, Sloane Street, London, S.W.1.

Ukazał się drugi zeszyt czasopisma poświęconego zagadnieniom wychowania w Polskich Siłach Zbrojnych  
GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE  
Numer zawiera: Słowo od redakcji; Dowódca wobec psychiki ludzkiej — Konny Artylerzysta; Psychologia rozkazu — dr. T. S. Offert; Wyjątki z literatury, Przegląd obecnej literatury wojskowej; Listy do redakcji.  
Cena 1sh.

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.  
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.  
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.  
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.  
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.  
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

**BE TALLER!**  
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!  
Increased my own height to 6ft. 3½ins.  
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches No Appliances—No Tablets—No Dieting  
Ross System Never Fails  
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp  
MALCOLM R. ROSS  
Height Specialist  
BM/Hyde, London, W.C.1